

Dziś w numerze: K. POGORZELEC Ludzie w zaręczawkach • Wiadukt po raz trzeci  
• „Polak – Węgier dwa bratanki” • R. LOBODA Nie jestem doktorem medycyny •  
Polihymnia w beczce Diogenesa • Błąd

# odgłosy



20 (513)  
18. V. 1969 r.  
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



## DZIŚ I JUTRO polskiej kinematografii

ROZMOWA  
Z CZESŁAWEM WIŚNIEWSKIM  
WICEMINISTREM KULTURY I SZTUKI

**ODGŁOSY:** Reorganizacja kinematografii była jednym z generalnych zadań, które należało podjąć przed rozpoczęciem decydującej batalii o podniesienie rangi filmu polskiego. Czy temu przedsięwzięciu organizacyjno-administracyjnemu towarzyszyły równoległe posunięcia i inicjatywy mające na uwadze już cel ostateczny: nowy kształt filmu polskiego?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Poszukiwania nowego profilu filmu polskiego zaczęliśmy od reorganizacji sprawy istotnej aczkolwiek nie najważniejszej. Reorganizacja była niezbędna zarówno ze względu na sytuację w jakiej znalazły się zespoły jak i na określony, istniejący tam klimat, który miał wpływ na stan twórczości. Zarliwość dyskusji, krańcowy ton niektórych wypowiedzi prasowych przejawiający niejednokrotnie braki, mógł nakazywać gorący sposób działania. Na szczęście udało się nam uniknąć pochopnych decyzji. Odrzucając braki nie zrezygnowaliśmy z zalet poprzedniego systemu: pracy zespołowej i samorządu twórczego. Nie potępiliśmy w czambuł poprzedniego dorobku naszej kinematografii. Nie przekreśliśmy ludzi filmu, którzy z pełnym zaangażowaniem tę kinematografię tworzyli. Wręcz przeciwnie — chętnie przy pracy widzimy zarówno doświadczonych, jak i młodych, zdobywających ostrogi twórców. Nowe zespoły zaczęły funkcjonować. Przepowiednie o bankructwie, o tym, że kinematografia zawała się bez swych bogów, nie sprawdziły się.

Ukoronowaniem pracy reorganizacyjnej była ostatnia narada filmowców, na której zaprezentowano próbę programu ich działalności na najbliższe lata.

W toku obrad dokonano oceny dorobku naszej twórczości filmowej, ostatniego 25-lecia, zarówno pod kątem jej szczytowych osiągnięć jak i braków. Podsumowano także dyskusję marcową. Uznano, że podstawowe głosy tej dyskusji domagające się poprawy sytuacji w naszej kinematografii są uzasadnione i obowiązujące na przyszłość. Wiele uwagi w referatach poświęcono analizie problematyki współczesnego filmu polskiego i jego kształtu artystycznego.

**ODGŁOSY:** Panie ministrze, Pana zdaniem podjęcie jakiej problematyki może stanowić szansę stworzenia indywidualnego, a zarazem rodzimego charakteru naszej kinematografii?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Nie jest zadaniem Naczelnego Zarządu Kinematografii układanie szczegółowego planu tematycznego. Propozycje szczegółowe, uwzględniające nasze ogólnokierunkowe wskaza-

Dalszy ciąg na str. 3

RYSZARD BINKOWSKI

## Poselska kadencja

1.  
Ulica Zachodnia 47, parter. Kilka małych pokoików, w których mają swe siedziby Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu i Wojewódzki Zespół Poselski. Siedzę w takim małym pokoiku. Obok człowiek przy telefonie. Telefony tu wciąż dzwonią. Ten człowiek przed godziną rozpoczął pracę, a już jest zmęczony. Ma surową, poważną twarz. Patrzę na jego przyknięte dłonie o krótkich, grubych palcach. To są chłopskie dłonie. Bo Jerzy

Pryma jest synem chłopca spod Lwowa. Poseł na Sejm. Jeden z dwudziestu trzech, jakich skupia Wojewódzki Zespół Poselski: 12 z PZPR, 7 z ZSL, 2 z SD i 2 bezpartyjnych. Jest pięciu posłów ze szczebla centralnego.

WZP dużo uwagi poświęca działalności poselskiej w okręgach wyborczych. Szczególnie kładzie się nacisk na umacnianie więzi z wyborcami, radami narodowymi i terenowymi komitetami FJN. Dokonuje się tego głównie poprzez spotkania z wyborcami. W minionej IV kadencji odbyło się 2988 takich spotkań, w tym na wsi 1262, w miastach (zakładach

pracy) 761, w środowiskach — 965. Powyższe cyfry unaoczniają fakt, że istnieje poważne zainteresowanie wyborców wiejskim, który często dzieli się z posłem swymi bólami.

— Bo nasz Sejm — mówi Jerzy Pryma — musi być prawdziwym, socjalistycznym parlamentem. Dlatego też możemy śmiało stwierdzić, że nawiązaliśmy kontakt z wyborcą. W spotkaniach wzięło udział 336 500 osób.

2.

Różne bywają drogi do mandatu poselskiego. Droga tów. Prymy była długa, ale

Dalszy ciąg na str. 4



Wydarzenia we Francji odsunęły na plan dalszy zainteresowanie innymi aktualnymi zagadnieniami międzynarodowymi. I nam nie uda się uciec od omówienia sytuacji, jaka nastąpiła po odejściu de Gaulle'a. W pierwszej jednak kolejności poświęćmy nieco uwagi problemom: wietnamskiemu i bliskowschodniemu, a ściślej — toczącym się rozmowom w Paryżu i Nowym Jorku. W pierwszym wypadku chodzi oczywiście o esterostronną konferencję w sprawie pokojowego uregulowania konfliktu wietnamskiego, w drugim — o konsultacyjne spotkania przedstawicieli czterech wielkich mocarstw, poszukujących dróg usunięcia napięcia bliskowschodniego.

XVI posiedzenie konferencji paryskiej, które odbyło się pod koniec ubiegłego tygodnia, wniosło do toczących się, jak dotychczas bezowocnie, rozmów nowy element. Delegacja NFW wystąpiła z propozycją, aby problem południowowietnamski rozwiązany został na gruncie 10 zasad: poszanowania praw narodowych, wycofania obcych wojsk, rozstrzygnięcia zagadnienia wietnamskich sił zbrojnych przez samych Wietnamczyków, przeprowadzenia powszechnych wyborów, utworzenia w okresie przejściowym tymczasowego rządu koalicyjnego i zakazu narzucenia własnego ustroju, poszanowania polityki pokoju i suwerenności, stopniowego, będącego następstwem dwustronnych porozumień, przywracania jedności Wietnamowi, zobowiązania obu stron, że przed osiągnięciem jedności nie zezwolą na pobyt obcych wojsk, likwidacji skutków wojny i zapewnienia międzynarodowego nadzoru nad wycofywaniem wojsk USA.

W programie na podkreślenie zasługuje ten punkt, który mówi o nienarzucaniu poszczególnym stronom własnego ustroju politycznego w okresie między przywróceniem pokoju w Wietnamie a przeprowadzeniem powszechnych wyborów. Wytrąca to argument Waszyngtonowi i Sajgonowi, że po wycofaniu amerykańskich wojsk władzę na południu natychmiast przejmą komunisty.

Znaczenie tych nowych propozycji NFW, które tworzą pakiet i przewidują realizację en bloc, a które przez „New York Times” określone zostały jako „poważny krok naprzód”, polega przede wszystkim na przejęciu inicjatywy i stworzeniu realnej możliwości osiągnięcia postępu w rokowaniach. Nie odnotowano go w ciągu trzech miesięcy trwania konferencji. Jedynym jej dotychczasowym rezultatem jest jasne sprzecznienie przez każdą ze stron swego punktu widzenia. Ale i to godne jest odnotowania.

Mniej jeszcze, ale to głównie z powodu niejawności, można powiedzieć o wynikach dotychczasowych rozmów konsultacyjnych w Nowym Jorku. Spotkanie czterostronne odbyło się siedem a dwustronne ZSRR — USA podobno jedenaście. Wielu komentatorów z optymizmem ocenia ich przebieg, chociaż jak wyraził się przedstawiciel Departamentu Stanu „pozostaje jeszcze duży dystans do przejścia”. Budzą one jednak zrozumiałe zainteresowanie — zwłaszcza, że bliskowschodni kocioł wciąż wrze.

A teraz zgodnie z zapowiedzią, przejdźmy do sytuacji we Francji. Wbrew oczekiwaniom nie udało się osiągnąć wyborczej jedności lewicy. Zjazd socjalistów wysunął swoją kandydaturę na prezydenta — G. Defferre, znanego z sympatyzowania z centrum, wobec czego FPK podjęła podobną decyzję. Kandydatem francuskich komunistów jest J. Duclos.

„Nasza partia — oświadczył on uczyniła wszystko co w jej mocy, by przekonać partię socjalistyczną o konieczności opracowania wspólnego programu wszystkich organizacji demokratycznych, co pozwoliłoby na wyznaczenie jednego kandydata lewicy. Niestety, obrady kongresu socjalistów w Alfortville nie spełniły oczekiwań mas robotniczych i demokratycznych naszego kraju. W rezultacie smutnych kombinacji politycznych G. Defferre'a, który sam wysunął swoją kandydaturę, przyjmując tym samym styl Pompidou — kandydatura ta została zatwierdzona przez zjazd w Alfortville”.

Rozproszenie sił lewicowych, spowodowane rozbiorem stanowiskiem SFIO, osłabia możliwość przeciwstawienia się kandydaturze Pompidou, któremu ankiety wróżą zwycięstwo wyborcze. Czyżby zatem gaullizm bez de Gaulle'a?

Na odpowiedź jeszcze za wcześnie. Jako główni rywale staną najprawdopodobniej w szranki wyborcze: Pompidou, Poher, Duclos i Defferre. Jeśli taka byłaby czołowa stawka — dwóm pierwszym przepowiada się zgarńnięcie największej liczby głosów. Jak w takiej sytuacji postąpiłby komunisty? — Pompidou i Poher — oświadczył G. Marchais, członek kierownictwa FPK — reprezentują siły zachowawcze. Gdyby więc w II turze wyborów doszło do takiego pojedynku — być może komunisty wstrzymaliby się od głosu.

W układzie Pompidou — Poher walka stoczyłaby się między gaullistami a centrum, przy czym to ostatnie byłoby właścicielem rozdarte między różne tendencje. Dodatkowo daje to szansę pierwszemu z wymienionych.

Realna możliwość uprowadzenia do Palacu Elizejskiego kandydata lewicy jest już więc chyba zaprzepaszczone.

Sytuacja we Francji żywo interesuje zachodni świat. Zwłaszcza duże nadzieje z wyborem nowego prezydenta wiąże Waszyngton, Londyn i Bonn. W stolicach tych przypomina się, że zwoleńnicy atlantyckiej jedności od lat marzyli o odejściu de Gaulle'a.

W. SŁAWSKI

MAREK WAWRZKIEWICZ

## Kluby ekskluzywne

Czasami uzmysławiam sobie, że ktoś kto popatrzyłby na nas z wysoka i z góry, zdziwiłby się aż do zawrotu głowy. Ten dystans właśnie — to „z wysoka i z góry” jest dla wywołania wyżej określonych uczuć — nieodzownie potrzebny. Bo to tak jest, niestety, że utopieni w morzu spraw codziennych, wplątani w mechanizm powszedniości, w kanony społecznych zwyczajów i obyczajów, nie dostrzegamy dziwa, cudactw, które przecież spotykamy na każdym kroku. Spotykamy, czasami dostrzegamy, ale jednak przechodzimy obok nich obojętnie, nie reagując. O jednym z takich zjawisk, o wysokiej okazjonalności naszego życia społecznego, któremu towarzyszy często brak poszanowania dla porządku, systematycznej roboty zaczęło się ostatnio sporo mówić. Dział więc tylko parę słów o sprawach ściśle związanych z kulturą. I o anomaljach, które towarzyszą jej upowszechnianiu.

Od dwudziestu pięciu lat walczymy o coś, co niezbyt prawidłowo przyjęło się nazywać kulturą masową. Niezbyt prawidłowo, bo nie chodzi nam przecież o kulturę masową w pojęciu zachodnioeuropejskim, o kulturę namiastek i komiksów, a o powszechność wybitnych dzieł literatury, muzyki i malarstwa. Nie ulega chyba wątpliwości, że te starania u normowane całym szeregiem aktów prawnych o doniosłym znaczeniu, całym szeregiem do brych zwyczajów — dają imponujące rezultaty. Przecież to w naszym dwudziestopięcioletnim społeczeństwie własność stała się księżką, powszechnie dostępne są galerie gromadzące sztukę klasyczną i współczesną, teatr stał się miejscem nawiedzonym, nie tylko przez, inteligencję, ale przede wszystkim przez robotników, melomani wywodzą się nie tylko z „górnich warstw” społeczeństwa.

To wszystko prawda, tak jak prawdą jest, że są to sprawy podstawowe i najważniejsze. Ale wiernie, od 25 lat prawie towarzysząc tym prawdom sprawki zaiste zagadkowe. Nie grzęźnijmy jednak w słabo gęstej teorii. Przypatrzmy się przykładom. Oto pierwszy z brzegu — „kluby ekskluzywne”.

Dla Anglika klub jest drugim domem. Zapewnia mu pełną suwerenność, jest niedostępnym dla obcych, Anglik wybiera ten klub, który mu — z zakresu kultury — zapewnia wszystko, czego on potrzebuje.

No tak, ale tam nie ma ani akcji upowszechniającej teatr, ani koncertów abonamentowych, ani sieci bezpłatnych bibliotek. U nas wszystko to istnieje. A obok tego prosperują iście angielskie, ekskluzywne kluby, Miejsca, do których nie ma wstępu nikt poza np. pracownikami jakiegoś zjednoczenia czy stowarzyszenia. Muszę przyznać, że nie rozumiem sensu takiego przedsięwzięcia, a nawet wątpię, czy taki sens w ogóle istnieje. Dla czego ktoś, kto chce się napić kawy musi się pechać do brzydkiej, brudnej i zatłoczonej kawiarni, a nie może wejść do klubu „Hermes”, do klubu ŁKS-u czy jakiegokolwiek innego, który chronicznie świeci pustką?

Jaki jest sens istnienia takiego klubu, który ma być teoretycznie miejscem, gdzie we własnym sosie mają się kisić ludzie pracujący w jednym przedsiębiorstwie, a praktycznie nie jest azylem dla kilkunastu nudzących się osób, które różnymi drogami dotarły do aktu nobilitacyjnego, jakim jest karta wstępu?

Ale to oczywiście nie ostatni przykład na rozmijanie się praktyki z teorią, a pustka, która ekskluzywne kluby świeca, nie jest jedyną pustką. Drugą, równie ważną jest pustka w działalności tych instytucji. Różnie to zresztą bywa. Bywa tak, że klub staje się rodzajem gospody ludowej, gdzie można zjeść, wypić i stracić przytomność. Ale zdarza się, że bufet klubowy oferuje kawę i wino, że przy barze po jednej stronie stoi smutna barmanka, z drugiej zaś znużona trzyosobowa grupa starych bywalców. Jeszcze dwie osoby przy telewizorze, jeszcze trzy zajęte stoliczki w sali brydżowej i jeszcze w pokoju, którego drzwi opatrzone są napisem „kierownik” — smutny pan piszący „z głowy”, z fikcji i wyobraźni sprawozdanie z działalności Klubu, lub ukła dający plan pracy na następny miesiąc. Sprawozdanie będzie zawierać np. pozycję zarejestrowaną jako „zebranie koła miłośników teatru telewizyjnego”, co w praktyce oznacza, że pięć osób oglądało wstrząsający spektakl „Kobry”, plan zaś wyznaczy dzień, w którym bywalcy klubu spotkają się z pisarzem. Z jakim pisarzem? O czym będzie mówić? Do kogo? Nie wiadomo, ale to nieważne, bo i tak spotkanie przeważnie się nie odbędzie.



ZDZISŁAW GŁOWACKI  
artysta-malarz, rektor PWSSP  
Rys. Ibis-Gratkowski

Być może jest to obraz nieco przyczerniony, być może powinien być tak szary, jak szara jest rzeczywistość klubów ekskluzywnych.

Ale przecież czarne barwy w obrazie pochodzą stąd, że całe to przedsięwzięcie z uporem godnym dużo lepszej sprawy ciągnięte jest za uszy z przeszłości w przyszłość. I końca tego nie widać. A jeśli tak, to może by ktoś przyjrzał się temu dokładniej i radykalnie zakończył całą tę smutną zabawę?

Skoro już przy klubach jesteśmy — istnieje jeszcze drugi wariant tego zagadnienia. Jak to zwykle u nas bywa, z pewną przesadą postanowiliśmy kiedyś, że „zabierzemy” się ostro do rzeczy nazwanej prowizorycznie „demokratyzacją kultury”. Jednym z pierwszych aktów twórczych w tej akcji było zakładanie klubów i świetlic przy prawie każdym zakładzie pracy. Zapatrzeni na ideały nie oglądaliśmy się na niedobry — na brak warunków lokalowych, brak pieniędzy na działalność, brak fachowców, którzy by mogli pracować kulturalną prowadzić.

Miałem okazję przyjrzeć się ostatnio „pracy” kilku takich placówek, rozmawiałem z ich kierownikami i tzw. aktywnymi. Jakos tak się złożyło, że kluby te miały bardzo bogatą działalność — ale w przeszłości, i mają piękne plany na

przyszłość. Natomiast aktualnie nie dzieje się w nich nic. Boję się, że gdyby w zakurzonych historii pogrzebać, z pięknej przeszłości zostałaby tylko gruba przesada. Z przyszłością też nie najlepiej. Jest jak jest. W chudym lokaliku na chudej pensyjce kierownik. Ale i ta chuda pensyjka jest i tak zbyt wysoką zapłatą za nierobienie niczego. Oto rzeczywistość klubowo-pingpongowa, wieczorowo-autorska, kawa i winem upita. Oto dwa pietra kultury masowej. Chude kluby przyfabryczne, w których dzieje się niewiele, bo nie ma na to odpowiednich warunków i znaku miecie wyposażone kluby ekskluzywne, których działalność kulturalna polega na organizowaniu półprywatnych bankietów. Tak jest i nie ma co ubarwiać rzeczywistości kilkoma przykładami naprawde dobre działających placówek — takich jak „Koliber” czy „Kardium”. A gdyby tak tym ludziami, którzy chcą i umieją coś zrobić dać te kluby, w których coś zrobić można, bo są ku temu warunki?

Te pytania bez odpowiedzi można by mnożyć. Albowiem w naszej rzeczywistości, w której naprawdę dochodzimy do powszechności kultury, istnieją również nonsensy, ukryte pod kryptonimem „kluby ekskluzywne”. Przecież widzimy te nonsensy. Nawet się do nich przyzwyczajamy.

I to jest właśnie najgorsze.

## LISTY DO REDAKCJI

TRZY SZTUCZKI HOCHSZTAPLERA

Panie Redaktorze! To prawda — człowiek to jednak istota towarzyska — nawet nabijany w butelkę przez hochsztaplera — nie chce być sam. Woli gdy takich nabitych jest wielu. Wtedy nie wpada w kompleksy, że sam jeden, jedyny dał się zrobić w tzw. konia. Z prostego powodu kamień spadł mi z serca gdy dowiedziałem się, że Edward Etlar znany niegdyś w Łodzi przede wszystkim jako kanciarz, następnie jako eksfilimowiec i eksdziennikarz uraczył telewizyjów londyńskiej TV

swoją sztuką — właśnie te lewizyną.

Treść sztuczki, jak zresztą i innych sztuczek Etlara zbyt wymyślna nie jest: Łódź, okres okupacji, ukrywający się przed hitlerowcami Żyd szantażowany pod mapą Polski i pod białym orłem zawieszonym na ścianie (w czasie okupacji!!!) przez dwóch Polaków eksficerów. Doprowadzony szantażem do rozpaczy dzwoni do gestapo tam właśnie szukając ratunku przed Polakami. Koniec. Być może Etlar zakończył swą sztukę happy-endem, w którym dobry wuj kowie z gestapo wysyłał szantażowanego nie do Oświęcimia lecz do któregoś z luksusowych sanatoriów w III Rzeszy.

Anglicy kupili sztukę i poknęli haczyk. Tak, jak niżej podpisany wraz ze swym kolegą z „Karuzeli” łódzkim grafikiem Jerzym Jankowskim „kupili” w roku 1959 inną sztukę Etlara — żyrując mu wetsel na samochód marki „Syrena”, w rezultacie czego zapłacili solidarnie łódzkiemu „Motozbytowi” po złotych polskich 13 tysięcy.

Inną sztukę, nie tyle napisał Etlar ile, splatali swej gospodyni, u której nie meldowany wynajmował pokój sublokatorski w Warszawie przy ul. Fałata 6. Z wieszaka w przedpokoju zabrał futro męskie po czym zniknął jak sen jakiś złoty.

Jak z powyższego wynika pan Edward Etlar jest starym cenionym sztukmistrzem.

PIOTR GOSZCZYŃSKI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Interesuję się malarstwem, dlatego zwiadam wszystkie wystawy, które są urządzane w Łodzi.

Oczywiście, najliczniej reprezentowany jest kierunek abstrakcyjny. Mimo najlepszych chęci nie mogę się pogodzić z tym, aby abstrakcjonizm uznać za główny, dominujący kierunek we współczesnym malarstwie. Mogę mu przyznać walory estetyczne, które budzi za pomocą różnych zestawień barw-

nych i kompozycji powstałych przypadkowo, a które są „mile dla oka” lub drażnią. Van Gogh twierdził, że i samą barwą można oddać uczucie, odczuwanie pewnych stanów. Artyści wykorzystali to, zaczęli eksperymentować i powstała nowa sztuka.

Ale czy możliwe jest jeszcze odrodzenie malarstwa, podźwignięcie się z nudnego odrętwienia, które wyłącznie fascynowało się odtwarzaniem subiektywnych stanów ducha, a wyeliminowało sceny rodzajowe?

Czy tylko aparat fotograficzny zdolny jest pokazać życie człowieka XX wieku? Nieprawda! Dosyć już chyba malarstwa truposzów, ślepych poszukiwań nie prowadzących do nikąd. Chcemy jeszcze żyć i oglądać życie. Co o tym myślał zawodowy malarze i ludzie interesujący się w jakikolwiek sposób sztuką. Myślę, że dyskusja byłaby niezwykle ciekawa i pożyteczna.

Z poważaniem B.W.

# Dziś i jutro polskiej kinematografii

Dalszy ciąg ze str. 1

nia muszą być opracowywane przez zespoły. Co nie oznacza, że będziemy rezygnować z kierowania uwagi zespołów i twórców na najrozmaitsze obszary tematyczne, które winny stać się przedmiotem penetracji naszego filmu. A więc ogromny obszar problematyki społecznej ze szczególnym wskazaniem na konieczność ukształtowania Polaka roku 1969. Wielu naszych twórców do tej pory nie może wyzwolić się z wizji Polaka „z garbem”, pełnego kompleksów. Tak bohater na pewno nie porwie widownię, nie przekona do swych racji. Bohater o którym myślę winien uosabiać marzenia każdego z nas, marzenia o osiągnięciu celów do których dążymy. Gdzie tych bohaterów szukać? — Wszędzie, i wśród robotników i inteligencji, naukowców i młodzieży.

Wokół filmów o tematyce współczesnej narosło wiele nieporozumień. Zrozumiałe jest, że filmy te w swej ostatecznej wymowie winny afirmować naszą rzeczywistość, socjalizm. Słowo to w przełożeniu na język codzienny oznacza wiele zwykłych i prostych spraw. Nie chodzi tu o lakiernictwo czy przesadny dydaktyzm. Takie filmy nie pomogą w rozwiązywaniu problemów dnia dzisiejszego. Niech to będą filmy, które krytykują, ukazują konflikty, ale niech w ostatecznej wymowie coś postulują, za czymś się opowiadają. Chodzi o pasję twórczą, o wiarę w sprawy, o których się mówi z ekranu.

Innym ważnym zakresem problematyki, którą film jutra winien się zająć jest powrót do Polski międzywojennej, ukazanie różnych środowisk tego okresu, komunistów i demokratów, dróg, które prowadziły do Polski dzisiejszej.

Niewątpliwie istnieje nadal potrzeba mówienia w filmie o okupacji, o walkach Polaków na wszystkich frontach wojny, o ich zwycięstwach. Jest to dług, który musimy spłacić i wobec tych, którzy walczyli i wobec przyszłych pokoleń.

Na naradzie padły wnioski stworzenia cyklu filmów, który by stanowił panoramę naszej historii. Na pewno taka potrzeba istnieje, i to nie tylko na odcinku życia politycznego, wojen, ale i na odcinku wskazującym na rolę jaką w naszych dziejach odegrały masy plebejskie.

Na opracowanie filmowe czekają także sylwetki naszych wielkich myślicieli, naukowców, humanistów. Obecnie w przygotowaniu znajduje się scenariusz poświęcony Kopernikowi. Warto również pomyśleć o Komisji Edukacji Narodowej — pierwszym ministerstwie oświaty w Europie, o Arianach, by podkreślić, że takie pojęcia jak wolność, sprawiedliwość, tolerancja od wieków miały w naszym kraju właściwą rangę.

W moim przekonaniu należy w filmie skoncentrować się także na historii naszych Ziemi Zachodnich, począwszy od Chrobrego i Krzywoustego.

Te wszystkie piękne karty naszych dziejów zasługują na to by je właśnie poprzez sztukę filmową utrwalić w świadomości społecznej.

Planujemy także kontynuowanie adaptacji literatury pięknej. Jednym z najtrudniejszych zagadnień jest problem filmów dla dzieci i młodzieży. Zrodził się nawet pomysł stworzenia specjalnego zespołu, który by przede wszystkim interesował się tą tematyką. Jednakże projekt ten wymaga jeszcze szczegółowych dyskusji.

**ODGŁOSY:** W licznych dyskusjach wiele uwagi poświęcono funkcji scenarzysty i roli pisarza w filmie. Jakie stanowisko w tej sprawie zajmują władze kinematografii?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Do materiału literackiego przywiązujemy wielkie znaczenie. Zresztą zostało to silnie zaakcentowane w nowej strukturze zespołów poprzez powołanie kierowników literackich, redaktorów literackich, lektorów, pisarzy, publicystów, których zadaniem jest przedkładanie propozycji scenariuszowych.

Istnieją opinie, że scenariusz jest w filmie niepotrzebny. Pozwolę sobie mieć odrębne zdanie. Generalnie rzecz biorąc nie znam filmu, który by powstał zupełnie bez scenariusza. To, czy napisany jest on na kilkunastu, czy na kilkudziesięciu stronach jest sprawą indywidualną każdego twórcy. Dlatego też, mając na uwadze konieczność stworzenia stałej, solidnej bazy scenariuszowej, rozszerzane są różne formy kształcenia scenarzystów. Prawdą jest, że pisanie nikogo nauczyć nie można, ale można ułatwić poznanie praw, które rządzą ekranem.

Zależy nam przede wszystkim na ludziach pióra takich, którzy pisanie dla filmu uważaliby za swe podstawowe a nie uboczne zajęcie. Dla których film byłby głównym celem i pasją życiową. Tylko takie potraktowanie tej sprawy może stworzyć warunki do powstawania filmów o wartościowej i ambitnej problematyce. Rozważamy formy na zasadzie tzw. „gotowości”, stałego zatrudnienia ludzi, chcących pisać dla filmu (podobnie jak jest to praktykowane w wypadku reżyserów). Zostaną także podwyższone opłaty za scenariusze.

Inną formą mającą na celu zwiększenie zainteresowania pisarzy i publicystów filmem są inicjowane przez nas konkursy. Obecnie mamy na uwadze dwa. Jeden tematycznie związany z codziennym życiem Wojska Polskiego, drugi z problematyką wiejską.

**ODGŁOSY:** Jednym z istotnych warunków rozwoju każdej sztuki, a więc i filmowej jest dopływ młodych. Jak jest obecnie podejście do sprawy debiutów, na które jak wiadomo, w okresie poprzedzającym reorganizację młodzi twórcy musieli nieraz długo czekać?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Plany nie tylko jakościowe, ale i ilościowe rozwoju naszej kinematografii determinują zapalenie zielonego światła dla młodych. Obecnie mamy wiele debiutów. Odrabiamy zaległości okresu minionego. Jest to także jeden z widocznych już efektów reorganizacji. Pragnę jednak zaznaczyć, że kryteria oceny zostaną zaostrożone. Nieudany debiut może być pierwszym i ostatnim filmem młodego twórcy. Takie podniesienie wymagań ma na celu możliwie maksymalne wyeliminowanie i filmów i twórców, którzy nie potrafili ocenić jak wielkim zaufaniem zostali obdarzeni i jak ważny środek masowego oddziaływania został im udostępniony.

**ODGŁOSY:** Wspomniał Pan minister o ilościowym wzroście produkcji filmów. Te plany związane są zapewne z koniecznością podjęcia szeregu innych ważnych przedsięwzięć?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Wzrost ilościowy produkowanych filmów łączy się z całym kompleksem zagadnień związanych z funkcjonowaniem kinematografii. O pewnych sprawach była już mowa. Dodam tylko, że w tej sytuacji obawy o nadprodukcję reżyserów wydają się przedwczesne. Planujemy nawet stworzenie zawodu tzw. drugiego reżysera. W funkcji tej nie widzę nic uwłaczającego. Drugi reżyser będzie niezastąpionym pomocnikiem zarówno twórcy już samodzielnego jak i debiutanta.

**ODGŁOSY:** Od dłuższego czasu czeka na rozwiązanie sprawa kin wiejskich. Czy zapadły już jakieś decyzje?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Warunkiem zrównania w prawach widza wiejskiego z miejskim jest jednolity repertuar. A to będzie możliwe wtedy, gdy z kin wiejskich zniknie aparatura 16 mm. Obecnie zarysowały się możliwości zakupu aparatury w Związku Radzieckim. Modernizacja kin wiejskich i stopniowe przechodzenie na projekcję 35 mm będzie procesem długofalowym. Przymuszałabym całość przedsięwzięcia zamknąć się okresem 10 lat.

**ODGŁOSY:** Czy zostały podjęte jakieś kroki mające na celu niedopuszczenie na ekrany filmów ehybionych — i to nie tylko tych, co do których są zastrzeżenia natury ideowej, ale i tych, które nie posiadają użyteczności społecznej, są nieudane warsztatowo i artystycznie?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Filmy na półkach nie są nam potrzebne. A każda, na szczęście rzadka decyzja o wstrzymaniu filmu jest argumentowana naprawdę uzasadnionymi przyczynami. Dla twórcy filmu bardzo ważna jest ocena społeczna. I dlatego ma uzasadnienie wprowadzenie na ekrany filmu nawet o pewnych brakach wytkniętych przez krytykę. Skonfrontowanie takiego filmu z odbiorcą albo pomoże w mobilizacji jego autora w kierunku tworzenia filmów łączących ambicje artystyczne z popularnością u widzów — albo w przeciwnym wypadku zostanie on wyeliminowany z grona realizatorów.

**ODGŁOSY:** Jak Pan minister ocenia pomysł powiązania na stałe zespołów filmowych z istniejącymi wytwórniami filmowymi?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Teoretycznie

żadnych przeciwwskazań nie widzę. Jednak warunkiem sine qua non powstania takich zespołów czy to przy wytwórni łódzkiej czy innej, musiałaby być odpowiednia grupa ludzi posiadająca swój własny, indywidualny program i profil. Rozumiem to w ten sposób, że w wypowiedziach twórczych tej grupy winna manifestować się oryginalność spojrzenia, by racje ideowe, które na przykład reprezentuje Łódź — dochodziły do filmu widziane właśnie oczyma Łodzi, by problematyka, która już zostanie wzięta na warsztat pokazana została oczyma Łodzi.

**ODGŁOSY:** Często padają krytyczne uwagi na temat repertuaru naszych kin. Czy zechciałby Pan minister przedstawić swój punkt widzenia?

**CZESŁAW WIŚNIEWSKI:** Obecnie na ekrany wprowadzamy rocznie 180 filmów. Z tego 100 z krajów socjalistycznych i 80 z kapitalistycznych. Z repertuarem jest jak z urodzajem w rolnictwie. Są lata tłuste i chude. Zrozumiałe jest, że nie możemy z państw zachodnich sprowadzać tylko filmów Antonioniego, Godarda czy Bergmana, bo wiadomo, że filmy tego typu stanowią tylko niewielki procent produkcji tych kinematografii. A równocześnie chodzi o to, by dać widzowi możliwie szeroką panoramę tego, co powstaje na świecie. A przecież filmy typu „Piękna Angelika” czy cyklu o Fantomasie są reprezentatywne dla tego ilościowo podstawowego nurtu produkcji filmowej na Zachodzie. Zanim wybierzemy te 80 pozycji prześlą nam 400—500 filmów.

Z ogromną troską staramy się dobierać pozycje ekranowe z krajów socjalistycznych. Walory humanistyczne a także artystyczne tych filmów mają ogromne znaczenie dla naszej polityki kulturalnej.

Rozmawiała:  
**JADWIGA PYCZEWSKA-PILAREK**



ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

## Refleksje o polskim parlamentarystyce (3)

# Konstytucja marcowa

Jednym z centralnych problemów, jakie stanęły przed społeczeństwem polskim u progu odzyskania niepodległego bytu państwowego w 1918 roku, było zagadnienie modelu ustroju państwa polskiego. „Teoretycznie rzecz ujmując — podkreśla historyk M. Pietrzak w świeżo wydanej monografii „Rządy parlamentarne w Polsce w latach 1919—1926” — istniały wówczas dwie możliwości wyboru: jedną stanowił ustrój kapitalistyczny, drugą socjalistyczny”. Było tak jednak tylko teoretycznie. Pomimo znacznego nateżenia walki klasowej na

wsławi w mieście i silnych wpływów rewolucyjnych przeobrażeń zachodzących w Rosji, nie powstały u nas przesłanki dla przeprowadzenia, tak jak do tego dążyły SDKPiL oraz PPS-Lewica, a następnie KPRP, rewolucji socjalistycznej. „Rewolucji, olbrzymiego, samodzielnego, głębokiego kotłowania się mas ludowych w Polsce nie było, nie było buntujących się, uzbrojonych mas żołnierskich; nie było w niej pożaru, ale padały na nią głównie i iskry z gorącej budowlą sąsiadów, niebo nad nią żarzyło się luną” —

podkreślał wybitny działacz komunistyczny H. Walecki. Nadzieje na rychły wybuch społecznej rewolucji w Polsce jakie żywiła KPRP u niemożliwiała jej postawienie właściwej diagnozy sytuacji społeczno-politycznej w kraju. „Kierownictwo KPRP nie potrafiło trzeźwo obserwować sytuacji — pisał M. Pietrzak — nie umiało obiektywnie ocenić rzeczywistego poziomu społecznej świadomości i politycznej dojrzałości całej klasy robotniczej. Odrzucając tak popularne w całym społeczeństwie hasła walki narodo-wyzwoleńczej, nie do

ceniając sprawy podziału ziem obszarnej wśród chłopów ani walki o realizację zadań ogólnodemokratycznych, KPRP izolowała się od mas pracujących i traciła z nimi bezpośredni kontakt. Wysuwając hasło rewolucji społecznej nie umiała wskazać klasie robotniczej właściwych dróg i środków działania prowadzących do zwycięstwa”.

Realia społeczno-politycznej sytuacji w Polsce u progu odzyskania niepodległości przesądziły, że nie stała się ona wówczas Polską socjalistyczną. Zdecydowaną przewagę uzyskali siły społeczne opowiadające się za burżuazyjnym ustrojem państwowym. Jednakowoż ta sama sytuacja, wzrost walki klasowej, aktywizacja szereżów mas ludowych, choć nie stworzyły przesłanek dla rewolucji socjalistycznej, wpłynęły w znacznej mierze na ustrój odrodzonego państwa, uniemożliwiając zwy-

cięstwo koncepcji otwarcie wstecznych, lansowanych przez społeczną prawicę. Podczas wojny światowej niektóre kręgi polskich klas posiadających, w szczególności najszlachetniejsi, widzieli najlepsze zabezpieczenie swych interesów i pozycji społecznej w ustroju monarchicznym. Koncepcja ta w warunkach 1918 roku nie mogła już być realną — monarchiczny model ustrojowy dewaluował się z dnia na dzień im bardziej wyraźne stawało się dla wszystkich bankructwo państw centralnych. „W miarę jak perspektywa budowy niepodległego państwa polskiego stawała się coraz bliższą, zdecydowaną przewagę uzyskiwała koncepcja ustroju republikańskiego. Gdy wokół walczyli się w grzyby monarchie, a na widownię życia politycznego występowały z żądaniem demokratyzacji życia politycznego masy pracujące, republika

nionej w powszechnych wystawiała się jedyną możliwą do realizacji formą ustroju politycznego. Dotychczasowi rzecznicy wprowadzenia monarchii zmuszeni zostali do rezygnacji ze swych planów. Upadek monarchicznych koncepcji ustrojowych przesądził ostatecznie rząd ludowy w Lublinie, skierowując budowę państwa polskiego na drogę republiki parlamentarnej”. Pod naciskiem społeczno-politycznej sytuacji w kraju klasy posiadające musiały zrezygnować ze swych antydemokratycznych koncepcji ustrojowych. Oczywiście nie bez walki. Demokratyczne zasady ordynacji wyborczej spotykały się wciąż z zaciekłymi atakami prawicy. M. Pietrzak cytując np. paszkwilancką wypowiedź publicysty „Myśli Niepodległej”, który o przyszłej reprezentacji narodu wylo-

Dalszy ciąg na str. 9

# Poselska kadencja

Dalszy ciąg ze str. 1

charakterystyczna dla jego pokolenia. I charakterystyczna dla ustroju socjalistycznego, gdzie z chłopskiego zagona, z ludu wychodząc, dochodzi się do najwyższej godności — do reprezentowania interesów tegoż ludu w Sejmie.

Jerzy Pryma z chłopską zaciętością zdobywał wiedzę. Niełatwo było zdobyć w owych czasach dyplom technika. Pryma to osiągnął. Już w szkole wstępuje do KZMP, a potem do sekcji KPP. Z ramienia lewicy wyjeżdża w styczniu 1939 roku do Warszawy. Bierze udział w kongresie związku budowlanych. Stawia wniosek o likwidacji Berez. Zaraz po powrocie do Lwowa trafia... do tejże Berez. Przebywa tam do chwili wkroczenia Armii Czerwonej.

Przy powstaniu ZPP zostaje poprzez zarząd główny zwolniony z wojska. W Swierdłowsku zakłada ZPP. Wzywają go do Moskwy i kierują do Kijowa, gdzie zajmuje się repatriacją Polaków. A repatriowano ich 80 tysięcy.

— Udalo nam się tam stworzyć dość ko rzystne warunki dla Polaków. Służba zdrowia, mieszkania, polskie szkoły. Ale chyba najkorzystniejsza była atmosfera, w jakiej Polacy opuszczali Ukrainę. Ludzie przy pożegnaniu całowali się. To duże osiągnięcie, zważywszy dotychczasowe stosunki między Polakami i Ukraińcami. No i te ciągłe kontakty z tysiącami ludzi... To się dziś przydaje w poselskiej robocie.

Przydaje się. Bo poseł wciąż jest z ludźmi. Bierze udział w sesjach rad narodowych i komisjach radzieckich. Lepiej zapoznaje się z bieżącymi zadaniami i problemami danego terenu. Informuje zebranych o bieżących pracach Sejmu. Dzieli się uwagami i wnioskami zebranymi w czasie spotkań z wyborcami. Prowadzi w terenie rozpoznanie znajomości przepisów prawnych przez pracowników rad narodowych. A to bardzo ważne, gdyż wskutek niezajomości tych przepisów przez administrację częstokroć cierpi szary obywatel.

3.

Bogata i różnorodna była tematyka spotkań poselskich w IV kadencji. Obejmowała plany, budżet państwa i danego terenu, sytuację polityczną i gospodarczą. Spotkaniom towarzyszyła ożywiona dyskusja. Padły liczne pytania i postulaty pod adresem posłów i władz terenowych.

Spotkania obejmowały różne środowiska, jak np. służbę zdrowia, nauczycieli, służbę rolną, młodzież w ZMS i ZMW. Takie spotkania są bardzo pozytywne. Stają się one platformą wymiany poglą-

dów i uwag między posłem i wyborcami w różnych sprawach. Korzyści są obustronne.

Latem narasta ilość pracy we wsiach. Przeważnie spotkania w sołectwach odbywały się głównie podczas jesieni, zimy i wiosny. Cieszyły się dużym powodzeniem. W wielu wsiach takie spotkania odbyły się po raz pierwszy. W roku 1968 mają miejsce liczne spotkania z młodzieżą starszych klas szkół średnich.

— Ale poseł — zauważa Jerzy Pryma — nie ogranicza się tylko do kontaktu z wyborcą poprzez ogólne spotkanie. Robi to też uczestnicząc w sesjach rad narodowych i innych zebraniach. Poseł ma dyżur. Takie dyżury odbywają się raz w miesiącu w każdym powiecie i 4 dni w miesiącu w Wojewódzkim Zespole Poselskim.

W minionej kadencji odbyły się 824 dyżury poselskie. Przybyło na nie około 7.500 interesantów.

4.

Poseł nie rozdaje szczerą ręką żadnych dóbr. Nie obiecuje, ale za to interweniuje w każdej sprawie, z jaką zwracają się do niego wyborcy. W czwartej kadencji przedstawiciele WZP przysięgli do załatwienia 3850 skarg i wniosków. Trzeba jednak zaznaczyć, iż podczas spotkań bywają obecni przedstawiciele terenowych władz. Wówczas wiele spraw wyjaśnia się lub załatwia na miejscu. Podczas jednego spotkania od ręki załatwiono 9 skarg i wniosków. Biorąc za podstawę tę najmniejszą ilość tzn. 3 skargi i wnioski na spotkanie, można wyliczyć w prostym rachunku, iż w minionej kadencji rozpatrzone ok. 9 000 interwencji.

Ilość i jakość interwencji zależna jest od specyfiki terenu. I tak inne problemy nurtują ośrodki przemysłowe, inne zaś tereny rolne. Na dyżurach poselskich dominowały sprawy indywidualne. Podczas spotkań interwencje przyjmowały charakter ogólnospołeczny.

Jeśli idzie o wieś, to najbardziej kłopotliwe były sprawy materiałów budowlanych i maszyn rolniczych, budowa szkół, świetlic, strażnic OSP, problem opieki lekarskiej i punktów skupu. Te ostatnie stały się w okresie jesiennym „złodziejem” chłopskiego czasu.

W zakresie spraw indywidualnych na wsi posłowie interweniowali w wypadkach niesłusznego połączenia gospodarstw różnych użytkowników, nieprawidłowości wymiaru podatków i obowiązkowych dostaw.

Miasto absorbowali problemy budownictwa mieszkaniowego, kanalizacji i wodociągów, zatrudnienia kobiet i niedostatecznej funkcjonalności handlu.

— We wszystkich środowiskach — oświadcza Jerzy Pryma — spotykałem się jeszcze ze skargami na urzędników, chociaż muszę stwierdzić obiektywnie, że w ostatnich latach praca administracji uległa kolosalnej poprawie.

5.

W roku 1946 Jerzy Pryma rozpoczyna pracę jako instruktor, a potem inspektor Wydziału Organizacyjnego KC. W roku 1949 decyzją Biura Politycznego zostaje I sekretarzem organizacji partyjnej w Szczecinie. Tę samą funkcję pełni następnie w Krakowie, gdzie jest również posłem na Sejm w I kadencji. Następnie jest I sekretarzem KW PZPR w Warsza-



wie i Łodzi, a potem zastępcą przewodniczącego WRN w Łodzi. W IV kadencji zostaje urlopowanym posłem. Jest wiceprzewodniczącym Woj. Zespołu Poselskiego. W bieżącym roku KW PZPR w Łodzi wysunął jego kandydaturę na posła w Sejmie. Zaiste, bogaty i wszechstronny bagaż roboty partyjnej i administracyjnej.

— Tak — uśmiecha się — to bogaty bagaż. Ale ileż to daje korzyści w mojej dzisiejszej pracy. Bo od posła wymaga się wiele rozważań, argumentów, wiedzy politycznej. Ja muszę być przygotowany na wszystko. A przecież bronie interesów państwa, a co za tym idzie — interesów społeczeństwa. Muszę posiadać również rozeznanie w sytuacji gospodarczej, w Sejmie bowiem uczestniczę w posiedzeniach Komisji Handlu Zagranicznego i w Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej.

— Czy posiada towarzysz — wtrącam — jakieś wspomnienia z tych „poselskich potyczek?”

— No, bywają sprawy drażliwe. Jeśli ludzie na zapadłej wsi pytają, dlaczego my wciąż utrzymujemy te „kontyngenty”, to tylko rozumny dialog może zakończyć sprawę pozytywnie. A podczas spotkań w innej wsi, gdzie zetknąłem się ze starym, mało wyrozumiałym pokoleniem, to doszło i do rzucania epitetów pod adresem posła. Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, a trwało to spotkanie od godz. 18 do 1.00 w nocy. Zdoła-

łem w końcu podzielić zebranych na dwa obozy i przeciągnąć na swoją stronę młodzież. Młodzież zresztą bardzo żywo reaguje na wydarzenia w naszym współczesnym życiu. Podczas spotkania w Technikum Ekonomicznym w Radomsku uczniowie zarzucili mi tak dojrzałymi pytaniami na temat RWPG, naszych stosunków z ZSRR, że dopiero wtedy przekonałem się, ile jest warta moja praca samokształceniowa i jaka chodząca encyklopedia musi być poseł.

★

Pracowity i owocny był okres IV kadencji. W Sejmie przeważały ustawy o charakterze społecznym, jak ustawa o kó masacji gruntów i rentach. Istniała polemika między posłami i resortami, częstą z dużym zrozumieniem ze strony resortów.

Wojewódzki Zespół Poselski może wykaże się w tej kadencji dobrą robotą. Brak było wtórnych próśb w tej samej sprawie ze strony wyborców. WZP działał pozytywnie, zawsze zgodnie z linią partii. Bardzo widoczne było osobiste zaangażowanie posłów, którzy w szczególnych wypadkach docierali nawet do prywatnych mieszkań wyborców. Wypada im tylko życzyć równie pomyślnej i owocnej pracy w nadchodzącej kadencji.

RYSZARD BINKOWSKI

## KRZYSZTOF POGORZELEC

# Ludzie w zaryskach

Rodowód ludzi w zaryskach sięga ponoć czasów króla Stanisława Augusta.

Na marginesie: jest ich coraz więcej. W Polsce z roku 1932 statystyki odnotowywały około 236 tysięcy etatów urzędniczych, a łącznie biorąc było wtedy w naszym kraju około 460 tysięcy pracowników umysłowych. Jak było i jest gdzie indziej? W Niemczech liczba pracowników umysłowych i urzędników wzrosła z 7,3 proc. zawodowo czynnej ludności w roku 1832 do 19,7 proc. w roku 1950, we Francji — odpowiednio — z 1,3 proc. do 15,1 proc. W Związku Radzieckim, w roku 1926, perso-

nel planowania gospodarczego i księgowości liczył wszystkich 650 tysięcy osób, ale w roku 1956 — bo tylko takimi danymi dysponujemy — było już ich 2.151 tysięcy...

Różne powody składają się na ten liczbowy wzrost zastępów „ludzi w zaryskach”. Na pewno wszakże na ten stan rzeczy składają się także zjawiska jak rozwój różnych dziedzin przemysłu, duża jego centralizacja, rozwój państwowego i społecznego planowania, wzrost rozmaitych instytucji społecznych, społecznych i kulturalnych, usług, a także — co nie jest tajemnicą — rozwój administracji, rozbudowa sprawozdawczości i ewidencji. Tak twierdzi socjolog.\*

Rzecz ciekawa: stykamy się z nimi codziennie, ale tak naprawdę to nie ma zgody co do tego kogo nazywać urzędnikiem. Ba, nawet w bardzo obszernych encyklopediach brakuje hasła „urzędnik”. Pojęcie „urzędnik” znikło również z aktów prawnych i tak np. dekret z roku 1948 zna tylko pojęcie „pracownik administracyjno-biurowy” co w pewnym stopniu zaciemnia całą sprawę. Uprośćmy więc: dla nas, przeciętnych „petentów” urzędnik to człowiek pracujący w biurze. To chyba wystarczy. Ale równocześnie o wiele za mało. Za odrabianymi przez nich „kawalkami” kryją się prze-

cięż nasze zwyczaje, lecz jakże często wielkiej życiowej wagi sprawy. Ich „parafa” na jakimś papierku znaczy tak wiele lub — w stosunku do życzeń petenta — tak mało. Są reprezentantami władzy, przez ich działanie szacujemy i rozliczamy działanie władzy państwowej, terenowej, samorządowej, a ten bilans ocen i odczuć zwykłego obywatela — który też może być urzędnikiem tylko innej „branży” — nabiera szczególnego znaczenia w takich chwilach jak choćby obecnie, gdy znajdujemy się w przededniu wyborów do Sejmu i rad narodowych.

Więc — urzędnicy. Poznajmy ich, przyjrzyjmy się im z bliska.

### KIM SĄ?

Istotnie, są tak znaczącą grupą społeczną, że trafili na warsztat badawczy socjologa. Być może i Ty Czytelniku znalazłeś się wśród nich. Dlaczego? Zajęto się właśnie zbadaniem łódzkich urzędników starając się znaleźć odpowiedź na pytania: kim są, co sądzą o swoim zawodzie, pracy, pozycji społecznej, kontaktach z interesantami trafiającymi do biur.

Może więc najpierw kim są. Interesujące: największy odsetek pośród urzędników stanowią ludzie w średnim wieku, między 30 a 40 rokiem życia, a po drugie jest to jeden z tych zawodów w

Polsce, który ulega gwałtownej feminizacji, blisko 60 proc. stanowią przedstawicielki płci nadobnej. Oczywiście, podane tutaj fakty mają bardzo względne znaczenie dla stosunków petent — urzędnik. Na pewno istotniejszą rolę odgrywa wykształcenie ludzi posiadających za biurkami i okienkami biur. A z tym jest jeszcze rozmaicie.

Dokładnie: z badanej grupy

6,9 proc.	— osób posiadało wykształcenie niepełne podstawowe
14 proc.	— pełne podstawowe
6,6 proc.	— niepełne zasadnicze zawodowe
7,7 proc.	— pełne zasadnicze zawodowe
6,9 proc.	— niepełne średnie zawodowe
11,1 proc.	— pełne średnie zawodowe
26,3 proc.	— niepełne średnie ogólnokształcące
15,3 proc.	— pełne ogólnokształcące
6,5 proc.	— niepełne wyższe
9,6 proc.	— pełne wyższe
0,2 proc.	— brak danych.

Od dni, w których przeprowadzono badania mogła się nieco zmienić sytuacja, jednak do generalnych zmian chyba nie doszło. Ale jedno jest pewne: podane tutaj liczby rozwiewają pewien dosyć powszechny mit, jakoby obec-

na urzędnicza kadra pod względem wykształcenia znacznie różniła się, na niekorzyść, od urzędników „przedwojennych”. T. Bartnicki po przeprowadzeniu badań stwierdza, że w roku 1933 blisko 50 proc. ówczesnego personelu administracyjnego i buchalteryjnego nie posiadało pełnego średniego wykształcenia. Niemniej z istniejącego stanu rzeczy nie możemy być zadowoleni. Wykształcenie niewątpliwie jest jednym z decydujących czynników dobrej, sprawnej obsługi interesanta. Myślmy np. o znajomości metod pracy biurowej, przepisów i wielu innych cennych umiejętnościach, które można nabyć tylko w szkołach. Powszechnie wiadomo, że większość sekretarek nie potrafi się wykazać takimi umiejętnościami jak maszynopisanie, korespondencja, nie mówiąc już o stenografii. Ciągłe przeważa typ sekretarki „od podawania kawy i łączenia rozmów telefonicznych”, a to bardzo mało, prawie nic.

### SAMI O SOBIE

Byli chyba szczerzy pisząc te wypowiedzi, anonimowe i właściwie nie do publikacji. Uchylił jednak rąbka tajemnicy. Oddajmy im głos:

„Początki mojej kariery urzędniczej były przykre. Nie rozumiałem wielu wyrazów, takich

# WIADUKT po raz TRZECI

Tory bocznicy. Stopy stalowych szyn, prętów, w jasnej i jaskrawoczerwonej rdzy. Sterty pociętego w deski drzewa wydzielającego osty zapach, który nie da się porównać z jakimkolwiek innym. Grunt nasiąknięty wodą sącząca się gdzieś w pobliżu. Stopa zostawia ślad. Wgłębienie w mokrej ziemi, które w moich oczach nappełniało się brudną — czarną od mulistej zawiesiny wodą.

Pomiędzy dworcem Łódź-Fabryczna i stacją Łódź-Niciarniana, wzdłuż ulicy Kopcińskiego stanął wiadukt. Przerzucony nad torami, łączy Śródmieście z Włazowem, autostradę z dwutorową linią tramwajową.

Trzy lata temu podjęto decyzję budowy, a szóstego lutego zeszłego roku rozpoczęto prace.

Zszedłem w dół po nasypie z którego wiatr odrywał grudki ziemi i staczał je w kałużę. Nad głową masa żelaza wspartego tylko na grubych kłockach z drzewa.

— Hej chłopie, czego szukasz w tym bałaganie? — ten który pytał ubrany był w spodnie z niebieskiego drellichu, flanelową koszulę i rozpiętą watówkę. Na głowie miał czarny beret.

— Chciałem do roboty — jest tu brygadziśta?

Ten który odezwał się do mnie pierwszy, popatrzył z ukosa a wszyscy pozostali podnieśli głowy.

— Na fryzjera chce pewnie zarobić — zaśmiał się jeden z tych co siedzieli. Reszta podchwyciła śmiech.

— Pracy szukasz? — upewniał się ten w rozpiętej watówce. W głosie wyczułem drwinę.

— Pewnie na kierownika — rzekł poważnie.

— Albo na dyrektora naczelnego. Nudałby się nawet, jak by się tak ostrzygli i ogolił schludnie — znów odezwał się ten sam głos, który mówił o fryzjerze.

— Jestem brygadziśta — mężczyzna w waciaku, wyciągnął do mnie rękę. Nie spodziewałem się tego gestu i dlatego potrząsnęliśmy swoimi dłońmi trochę niezdarne.

— Co byś chciał robić?  
— Wszystko. To znaczy cokolwiek.  
— Pracowałeś jako fizyczny?  
— Jasne! w Bieszczadach trzy miechy przy wyrębie i pół roku w Kołobrzegu w porcie przy przeladunku.

— Wczasowiczki po tyłku klepał — powiedział zwolennik schludnego wyglądu.  
— Koniec fajrantu. Do roboty — zwrócił się do siedzących brygadziśta.

Każdy poszedł na swoje stanowisko. Mój prześladowca razem ze wszystkimi.

— Na dniówkę, czy akord? — zapytałem.

— A jakbyś chciał? Pewnie że akord. Wydłużony dzień roboczy. Od wschodu do

zachodu słońca. Fajranty się tylko robi. No i co było do roboty zrobione musi być. Śnieg albo deszcz. Masz szpadel i pokaż jak się rowy kopie.

Wskoczyłem do płytkiego rowu. Szpadel zgrzytał na kamieniach, kiedy wbijałem go w ziemię. Wyrzucałem piasek na kupę tuż przy rowie. Ten sam ruch. Identyfikacyjny. Najpierw nadepnąć nogą. Podważyć. Wyciągnąć i wyrzucić. Mocne uderzenie. Muzyka zgrzytów żelaza o kamień. Akompaniament głośnego oddechu, spadającego z powrotem do rowu piachu, i wody chlupoczącej w butach.

— Dosyć — usłyszałem.  
Jak długo to trwało. Pięć minut, czy godzinę.

— Wytrzymały jesteście! — z uznaniem powiedział brygadziśta.

— Te. Burak. Chodź tutaj!

— O co chodzi z tym — poznałem głos swego prześladowcy.

— Dogadywać umiesz. Zobaczmy czy w łapie też takiś mocny, jak w języku. Podajcie sobie ręce. Kto pierwszy powie „puść” — znaczy że jest słabszy.

Podaliśmy rękę Burakowi. Złapał mnie szybko i mocno. Jak kleszczami. Choćby miał mi kości połamać, pierwszy nie powiem żeby puścił — postanowiłem w duchu. Twarz Buraka z wysiłku nabiegła krwią. Pewnie dlatego mówią na niego „Burak”.

— Coś taki błady — odezwał się Burak. Milczałem. Ze wszystkich sił ścisaliśmy sobie ręce.

— Wystarczy — przerwał brygadziśta. Na budowie mało kto wytrzyma „uścisk ręki” Buraka.

Roztarłem zbiegającą dłoń. A Burak jakby nigdy nie poszedł do swojej roboty. Nawet się nie obejrzał.

— Szkołę masz?

— Tak, maturę.

— Zawodówki żadnej żeś nie skończył? Ani kursu żadnego?

— Nie. Ani kursu ani zawodówki.

— No to nic się nie da zrobić. Do zawodu musisz być przyuczony. Na fachowców potrzeba. Cieśli. Zbrojarzy. Niekwalifikowanych nie przyjmujemy.

— Trudno. Rozejrzę się gdzieś indziej. Dziękuję.

Tylko żeby ci portki nie pękły na tyłku jak będziesz nogę do tramwaju zadzierał — krzyknął za mną Burak na pożegnanie.

To jest ich budowa. Ich wiadukt\* Zajął miejsce równinnych łąk pachnących kwieciem. Stał się urokiem codziennego cichego wiejskiego poranka.

Dojeżdżają z podłódzkich miejscowości. Z Burzenina, Wielunia, Osjakowa. Postawili 735 ton dźwigarów do rusztowań. Z siedmiu i pół tysiąca metrów sześciennych uzbrojonej masy betonowej można by postawić trzy czteropiętrowe mieszkalne bloki.

— Wiadukt na ulicy Kopcińskiego to inwestycja Prezydium Rady Narodowej Łodzi i Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych w Warszawie — wyjaśnia inżynier Feliks Kamiński, który jest głównym koodynatorem robót z ramienia DOKP Warszawy.

— To nasz trzeci wiadukt w Łodzi — mówi inżynier Roman Zawada, odpowiedzialny za roboty konstrukcyjne, na zlecenie Płockiego Przedsiębiorstwa Robót Mostowych.

— Teraz stoi pan na samym środku osi jezdni. Stałem w żółtym piachu, po kostki. Na prawo równo ułożone na dźwigarach deski, podtrzymywane żelaznymi i drewnianymi szalunkami. Po drugiej stronie kilka kolumn, pustych, niewypełnionych betonem. z jaskrawoczerwonych stalowych prętów. Na nich oprze się druga połowa wiaduktu.

— Wygląda tu na bałagan. Tylko pozornie. Budujemy planowo. Najpierw część

wiaduktu przeznaczoną pod jezdnię wschodnią. Środek przeznaczony na podtorowiska tramwajowe. A jezdnię zachodnią, na końcu. Całość zaczyna się budować od strony południowej.

— Pan wie, dla wzmocnienia gruntu wbito w ziemię dziewięćdziesiąt sześć stalowo-betonowych pali. Pod torami teren był uzbrojony. Płatanna kabli, przewodów, rur kanalizacyjnych. W jednym miejscu muł i glina, a pół metra dalej piasek i woda. Musieliśmy uważać, żeby nie uszkodzić żadnego urządzenia, tam, w ziemi. Dopiero na tych dziewięćdziesięciu sześciu palach zbudowano betonową podstawę pod kolumny, na których wsparty będzie wiadukt.

Osobny problem to pociąg. Ruch bardzo duży. Towarowe. Osobowe. Ruch przez cały czas musi odbywać się zgodnie z rozkładem. A parę centymetrów od rusztowania jest trakcja. Wysokie napięcie. Na osiemdziesięciometrowym odcinku wyłączono prąd. Elektrowozy muszą ścigać pantografy. A jak je dzie „jednostka” i ma dwa pantografy, to nawet jak już przejedzie i może podnieść, to ten drugi i tak o tę wyłączoną część jeszcze przez parę metrów zawadzi. Trochę nerwów zawsze jest. No, ale na szczęście — odpukać w nie malowane drzewo — wypadku żadnego nie było.

— Do dworca jest pod górkę. Kiedy maszynista weźmie słaby rozbieg, to zatrzymuje się akurat pod rusztowaniami. Trzeba telefonować po parowóz.

Tańszy będzie od tego na Chojnach, ale droższy niż na Teofilowie. Osiemdziesiąt milionów. No, około osiemdziesięciu milionów.

Dalszy ciąg na str. 8



Fot. W. Resiak

jak np. „załącznik” nie bardzo wie działem jaka jest różnica między dekretem i ustawą. Wstydzilem się pytać...”

— W roku 1945 — mówi młoda kobieta — było mało ludzi do pracy. Jedna z sąsiadek powiedziała. Jesteś mizerna, na produkcję nie nadajesz się i nic nie umiesz, a pisać po polsku potrafisz — to cię przyjmą do biura”.

— Pracowałem w stoczni, na kolei, w handlu, rolnictwie — zawsze jako robotnik, w roku 1948 awansowano mnie z pracownika fizycznego na biurowego. Traktowałem to jako nagrodę za dobrą pracę...”

I wreszcie jeszcze jedna — moim zdaniem niezmiernie charakterystyczna wypowiedź: „— Byłem robotnikiem — pisze młody urzędnik samorządowy — i w dowódzie podałem się jako robotnik. Nie czułem się i nie czuję inteligentem. Jestem człowiekiem bez cenzusu. Czuję się natomiast prawdziwym robotnikiem, który tylko przejściowo trudni się pracą umysłową”.

Tyle pamiętniki. Dotykają one niezmiernie interesującego zagadnienia, szacunku dla wykonywanego przez tych ludzi zawodu, zainteresowania pracą co nie jest bez znaczenia dla rezultatów ich działalności.

Łódzki socjolog — A. Kłosowska prowadzi badania wśród pracowników administracyjnych

stawiała m. in. pytanie: KIM JESTES?

Jakie były tego wyniki? Ponad 83,4 proc. udzielających odpowiedzi wcale nie użyła określenia „urzędnik”.

Nie, bynajmniej kariera urzędnicza nie jest szczytem marzeń ludzi wykonujących biurowe czynności.

Oto jeszcze jedno wyznanie zaczerpnięte z pamiętników urzędniczych: „— Jeszcze się zastanawiam, ale prawdopodobnie zostanę sprzedawcą w sklepie”. Jeszcze inny pisze: „— Ja ze swej strony czynię starania w kierunku wyzolenia się spod jarzma kartoteki i pióra administracyjnego. Nadzieje są jednak na razie niewielkie”.

Rzecz ciekawa: bardzo duża część przebadanych pracowników administracyjnych na pytanie — jaki masz zawód odpowiadała: technik, rzemieślnik, nauczyciel, wreszcie — bez zawodu. Znikoma natomiast stosunkowo część stwierdziła: jestem urzędnikiem.

Może to m. in. znaczyć, że udzielający odpowiedzi nie mają zbyt wielkiego szacunku dla wykonywanego przez siebie zawodu. I rzeczywiście opierając się na wypowiedziach urzędników można ustalić hierarchię pracowników administracyjnych. Są to kolejno:

lekarz  
inżynier

nauczyciel  
technik  
majster  
robotnik  
krawiec  
ekspedient

Różnie uzasadniali to swoje stanowisko. Przytaczamy tylko niektóre wypowiedzi. A więc: urzędnik nie ma fachu, nie ma konkretnego zawodu. Praca urzędnika jest... mniej odpowiedzialna. Urzędnik ma mniejszy szacunek społeczny i jest przedmiotem licznych dowcipów i karykatur. Każdy może być urzędnikiem. Mniej zarabia, a jego praca nie jest konieczna tylko mechaniczna, automatyczna.

### URZĘDNIK TEŻ CZŁOWIEK

Chyba dosyć. Przynajmniej dla poznania zewnętrznej sylwetki urzędnika. Ale, gdy pada to słowo natychmiast rodzi się inny termin: biurokracja.

Przyznaję, że socjolog działał tutaj perfidnie. Mianowicie zapytał wprost samych urzędników co rozumieją pod pojęciem biurokracji i biurokracji. Odpowiedzi?

Biurokrata to jak mówią urzędnicy, „człowiek bez serca, bezduszny, zawałony stosem papierków”.

A biurokracja? To znowu: „Bałagan, niewłaściwe podejście do petentów, zła organizacja pracy”.

Z tego ostatniego sformułowania można wysnuć wniosek, że sami urzędnicy nie są przekonani, iż to właśnie oni są odpowiedzialni za istniejącą w wielu dziedzinach biurokrację. Traktują to zjawisko jako bezosobowe i każdy z nich w pojedynkę nie przypisuje sobie cech biurokratycznych.

Ten pogląd jest co najmniej dyskusyjny. Warto przecież zwrócić uwagę na takie zjawiska jak stosunkowo niski stopień wykształcenia, co utrudnia nie tylko prawidłowe i szybkie rozpatrywanie spraw, ale także np. posługiwanie się nowoczesnymi urządzeniami i metodami organizacji pracy. Np. widoczny jest pewien konserwatyzm w urzędzie stanowiska pracy, obsłudze interesantów, poważne braki w wiadomościach co, do kogo i gdzie należy poszczególnie sprawy kierować. Tzw. „usprawniacze” nie są w tym środowisku zbyt mile widziani, a obawa przed lepiej wykształconą kadrą ma jeszcze jeden podtekst: urzędnicy — rutyniarze obawiają się, że to „nowe” wyprze starych.

A więc czy mamy bezradnie rozłożyć ręce?

Idealem urzędnika byłby człowiek umiejący pod każdą sprawą, każdym podaniem dostrzec ludzkie kłopoty i potrzeby. Niedostatków kadrowe, stosunkowo niska społeczna i ekonomiczna ranga

tego zawodu — w praktyce to u niemożliwiają. Co najmniej pod znakiem zapytania stoi również możliwość rzeczywistego wniknięcia w sedno każdej sprawy, a przy ich nawale wybiera się aż nazbyt często formalne rozwiązanie lub „spychotechnikę”.

Co w istniejących warunkach można uczynić dla poprawienia sytuacji i usunięcia ze słownictwa polskiego wyrazu „biurokracja”?

Na pierwszym miejscu — niejako „leb w leb” postawiłbym dokształcenie kadr i w ślad za tym podniesienie społecznej rangi urzędnika.

I jest jeszcze jeden niezmiernie wagi czynnik: kontrola społeczna. Ogromne znaczenie ma tutaj wychowawcze działanie organizacji i instancji partyjnych, kształtowanie obywatelskiej postawy, eliminowanie sobkostwa i „urzędniczych manier” w pejoratywnym tego słowa znaczeniu. Ciekawe: jakże często urzędnik na wczasach, czy w innych sytuacjach pozasłużbowych widzi te same niedociągnięcia, sarką na nie, chociaż już „za biurkiem” robi wobec interesanta te same fochy i administracyjne kruczki. Wypadałoby kogoś i czegoś nauczyć. Nim stanie się urzędnikiem.

\* K. Lutyńska: „Pozycja urzędników w PRL” Wyd. Ossolineum.

# Nie jestem doktorem medycyny

Zbyt głośne skrzypienie łóżka u sąsiadki. Około północy przyjechał mąż.

Bylin jeszcze nie spał. Teraz słyszy przez cienką ścianę jak ona bardzo tęskniła przez cały tydzień.

Bylin mógł być wczoraj lekarzem. Gospodarze odpowiedzieli, że zamieszkał u nich doktor, więc sąsiadka przyszła pod wieczór i rozchyliła szlafrok ukazując parę wyprysków między piersiami.

— Od słońca, czy od czego innego — pytała. — Mąż jest w ciężkim przemyśle zaopatrzeniowcem, więc nie dba o jej zdrowie. — Co to może znaczyć — pytała — i jakiej jej on, Bylin, zapisze lekarstwo? Może krem niewłaściwy, albo uczulenie na mydło? Bo ona trochę przesadza z czyściwością. Trzy razy dziennie...

— Nie jestem doktorem medycyny — zdolał dojść do głosu Bylin.

Usiadła i zaczęła mówić o snach i że zna teorię Freuda. Łóżko trzeszczy za ścianą. Bylin nie żałuje, że nie został lekarzem. Naciąga koc na głowę, przymyka oczy, lecz nie może usnąć.

Oczywiście, że to trzeba skończyć! Myśli. Jeszcze tylko ten przelot i wiadukt wiążący północ z południem. — Bylin jest budowniczym własnego projektu i to jest penia. Czyn to zmaterializowana myśl. Nie dał się złapać w pułapkę półczyny. On buduje własną myślą. Niewiele czasu upłynęło a w słońcu jego myśl stoi. Można ją dotknąć, wejść w nią — zamieszkać. Cała dzielnica. To, co ją (dzielnice) poprzedzało nie miało by znaczenia, gdyby nie czyn. Myśl sprawdza się w materii. Materia służy człowiekowi. Wystarczy przejść się dzielnica. Wszędzie słońce. Przestrzeń, która nie może umrzeć. W ogóle urbanistyka Bylina, to wkomponowanie człowieka w przestrzeń, by mógł zapomnieć o ograniczeniu. Na razie dotyczy to postrzegania. Piękne jest dzieło Bylina; można je dotknąć, obejrzeć a nawet powąchać. Zawsze, gdy kładzie się do łóżka i przymyka oczy zjawiają się takie obrazy. Wystarczy pomyśleć, a później koncentracja woli. Wszystko zaczyna się materializować. Obrazy są ruchome. To jest prawdziwa rzeczywistość. Wszystko jest ruchome, a później zlewa się w jedną bezbarwną plamę. Strach. Strach przed nieruchomością. Bylin krzyczy przez sen.

Córka gospodarza przynosi gorące mleko. To są prawdziwe wakacje nad morzem. Gorące mleko! Dziewczyna siada na krzywym krześle i czeka. Bylin, jak zwykle, parzy sobie usta mlekiem. Ona, jak zawsze parska śmiechem.

— Co dzisiaj za dzień?  
Dziewczyna uśmiecha się uradowana, że wreszcie pierwszy rozpoczął rozmowę.  
— Święto — odpowiada.  
— Jakie święto.  
— Zobaczy pan wieczorem.

— Aaa... rozumiem — mówi Bylin i uśmiecha się domyślnie.

Dziewczyna też się uśmiecha i prędzej niż zwykle odchodzi.

— No tak — myśli Bylin — teraz trzeba się ogolić. Do diabła z tym goleniem!

Przeciąga dłoń po brodzie. Przegląda się w lusterku. Skronie siwieją. Nie ma ochoty iść do kuchni po wodę i nie ma ochoty golić się zimną wodą. Wzdycha. — Wymyśliłem sobie, że moja broda jest nieprzyjemna. Wcale tego nie czuję. Nie, ja tego nie wymyśliłem. — Otwiera walizę. W celofanowej torebce przybory do golenia. — To inni wymyślili. Ja wymyśliłem złe samopoczucie. Człowiek istota społeczna, przykro mu, że nie budzi wzruszeń estetycznych. Po prostu rumieni się ze wstydu. A gdyby tak zapuścić brodę?

W kuchni zapach smażonej flądry.  
— Dzień dobry pani.  
— Dzień dobry panu. Dobrze się spało?  
— Doskonale.  
— Zje pan flądre?  
— Z przyjemnością.  
— Zaraz panu przyniosę.  
— Dziękuję, naprzód się ogolę. — Bylin zaslania sobie twarz dłońmi.

— Nalać panu wodę? — gospodyni bierze z jego rąk mydelniczkę i nalewa do niej trochę ciepłej wody.

Golenie nie idzie mu łatwo. Zapach smażonej flądry rozprasza, już i tak dostatecznie zmaczoną, uwagę. Co go tak niepokoi? Dziewczyna mówiła, że dziś święto. Nie chce mu się zajrzeć do kalendarza. Pół twarzy ogolił, z drugą namydloną podchodzi do szafy. Gdzieś w spodniach musi być kalendarzyk.

Święto, święto! A cóż go obchodzi jakiego święta, podczas urlopu! Rzuca kalendarzyk na łóżko i podchodzi do okna. Po deszczu ani śladu. Tylko zieleń świeższa i jakby chłodna mgielka w nasłonecznionym powietrzu.

— Stasia! — słyszy wołanie gospodyni. Przeciera oczy dłońmi, końcami palców trafia w mydliny.

— No tak — myśli — golenie. — Wzdycha i wraca do opartego o szklanek lusterka.

— Stasia! — słyszy stukot obcasów i w uchylonych drzwiach miga mu kolorowa sukienka dziewczyny.

Stasia. Bylin teraz przypomina sobie, że tak przecież ma na imię córka gospodyni. Ale o jakim święcie mówiła? Co za święto. Gdzie ten kalendarz? Nie. Normalny dzień. Zaraz... zaraz... imieniny obchodzą Maria i Stanisława. No... święto, oczywiście! Jej święto. — Bylin zabiera się do golenia drugiej połowy twarzy. — Mydło wyszło! Zyletka tupa! Na co ona zawsze czeka, gdy przynosi mleko? Chee sobie po gadać. Też sobie wybrała rozmówcę. Połowy tego co mówi nie słyszę. Nawet miła i rozgarnięta dziewczyna. Zdaje się, że chce zostać pielęgniarką. Dzieci lubi.

— Proszę pana! — gospodyni przez uchylone drzwi.

— Proszę?  
— Można już flądre przynieść?  
— Proszę, proszę... ale ja sam...

Gospodyni przygląda mu się uważnie. — Zarzął się pan — zauważyła beznamiętnie.

— Ano właśnie. — Bylin palcem ściera spływający strumyczek krwi.

— Mój mąż brzytwą — mówi gospodyni — tym by nie umiał.

— Ja tym, brzytwą bym nie umiał.

— Do wieczora starczy. — Gospodyni końcami palców wyciera sobie kąciki ust.

— Może i starczy.

— Pan nie wybiera się gdzie wieczorem?

— Jeszcze nie wiem.

— Gdyby pan nie pogardził, to dzisiaj u nas będzie kolacja. Na obiad niech pan też nigdzie nie idzie, ubiłam kurczaki.

Bylin jest zakłopotany, ale wie, że się nie wymiga. — Dzisiaj święto Stasi — myśli.

— O której — pyta.

JERZY WAWRZAK

## Apatia

Za oknem nocy ciemny ogród  
krzyk gwiazdy jeszcze go nie dotknął  
i tylko zegar w czas żałośnie  
odmierza minut długie krople

Pod ręką tylko gładka skóra  
i drżenia w palcach amplituda  
ostyga z wolna apatycznie  
nadiąga ciało strawionych nuda

## Romantyczność

Moja wierzbą tylko pustką w noc huczy  
moja wierzbą zrozpaczona niemowa  
Moje niebo chmurą na czole siada  
nocne niebo wielka pułapka

Moja kłęska w wiecznym czekaniu  
nim gwiazdą na ślepe oczy spadnie  
nim wreszcie skoczę z kamieniem do wody

Romantyczność jest tylko laskotaniem  
jak oczy oszukiwaniem światła.

\* \* \*

Jeszcze nie widziałem twych oczu  
dojrzewających w czarnym ostrokrzewiu rzęs

Jeszcze mi nawet wiatr nie przyniósł  
drobnej fali twego głosu z dna rzeki

Jeszcze mnie codzienność stalową obręca...

A już myśl jakaś przeszła między nami  
jak oddech ziemi w gorące południa  
i już się stało coś nieokreślone

skazane  
rozdarte

— Mówiła pani inspektorowa, że w mieście prędzej jak o trzeciej nikt nie jest głodny, a jak plaża to i później.

— Słysznie — potwierdza Bylin.  
— Biedna kobieta.  
— Kto?  
— Pani inspektorowa.  
— Czemu?

— Zawsze sama i sama. Mąż jak po ogień raz na tydzień, albo i rzadziej wpada, a ona sama jak palec.

— Jak po ogień — myśli Bylin — a ona ma wypryski na dekolcie...

— Kobieta postawna i jeszcze nie stara, a co ma z chłopca?

— Jak to co?

Gospodyni podchodzi bliżej. — Dzisiaj tomy się obie splakaly — mówi półgłosem. — Marny ten jej chłop, chociaż wygląda jak wieprz. Slabuje na serce.

— Coś takiego?!

— Ano widzi pan! Słońce mu szkodzi, woda mu szkodzi, ruch każdy też. A przy tym, mówiła pani inspektorowa, że...

— Mama!

— Przepraszam pana, zagadałam się, a tam Stasia sama...

— Mama!

— Już ide! Ogień nie dziewczyna — mówię panu... O Boże! Coś się przypala! Wieczorem też bardzo prosimy.

Bylin czuje znużenie. — No cóż inspektorowa czyli zaopatrzeniowa, całe lato tu siedzi. Biedna... Flądra stygnie. Ale pachnie! Smażona. Ociera brodę chusteczką i czuje szorstkość nie ogolonej połowy twarzy. Zasnęte mydło kruszy się i opada jak lupież. — Jeszcze to — i nakładam nową warstwę mydlin. — Przejść przez to!

Słońce pada na obrus i rozjaśnia biel, na której plamy pęcznicją, rosną. — Zuchwalstwo i bezwstyd — myśli Bylin. Niczego nie można utrzymać w czystości. Co to jest czystość? Obecność jest brudem. Przymyka oczy i widzi umalowane usta inspektorowo-zaopatrzeniowej i czarne paznokcie Stasi. — Co tu jest obce? Chyba nie własny, zapieczony pot? W porządku — myśli — czystość to zmywanie, ścieranie, zdrapywanie... — Bylin ściera z ucha resztki mydlin ręcznikiem. Być sobą. Nie obcego, nie obcego, nie... Bzdura! — W paśmie słońca tańczy pył i diabeł wie co jeszcze. Uciekłem w samotność. Nic z tego!

Do taksówki „dokwaterował” mu taksówkarz matkę z dzieckiem. W pociągu siedział stłoczony między emerytem a żądną jejnością. Naprzeciw licealistka w mini. W kącie ksiądz. Cały świat już w pociągu sprzyjał się na niego. Cokolwiek robił, nigdy, tak naprawdę, nie był

sam. Nawet w snach. Ocierał się, dotykał, potykał, zderzał nawet, gdy zamykał oczy. Nie ma sterylności! Jest czystość. — Co robić, co robić? — Bylin wyjął kubek, pastę, szczoteczkę i zaczął szorować zęby. — Być sobą — myślał — mieć czyste uszy, skórę — wszystko własne, jak przed komisją poborową. — Westchnął. — Nigdzie nie uciekniesz, musisz odocpać i skończyć ten wiadukt i całą dzielnice, bo człowiek trzeba wkomponować w przestrzeń.

Ktoś puka.  
— Proszę — mówi Bylin.  
— Dobrze, że pana zastałam doktorze... — Pani zaopatrzeniowo-inspektorowa wygląda, jakby za chwilę miała wystąpić przed komisją konkursu piękności i elegancji. Dotyka palcem ostatecznej głębi w klin wyciętego dekoltu. — Widzi pan?

— Widzę.  
— Lepiej już?  
— Lepiej.  
— Niech pan zgadnie, co pomogło?  
— Mówiłem już pani, że nie jestem doktorem medycyny.

— Wiem, wiem, ale pan nie wie, że mój biedny mąż wpadł wczoraj na chwilę. On zawsze tak, jak po ogień...

— No i co z tego — przerywa Bylin.

— Ach, proszę pana, on jest nadzwyczajny! Przywiózł mi dermosan.

— Dermosan — dziwi się Bylin.

— No niech pan spojrzy...

— Widziałem. Ale niech mi pani powie proszę pani...

— Bylin przygląda się jej uważnie — co to jest czystość.

— Czystość?... Panie doktorze. Pan żartuje. To nie jest żadna potwórka, ja trzy razy dziennie od stóp do głów, wie pan pod tym względem jestem aż przesadna!

— Wierzę, wierzę szanowna pani, ale nie o taką czystość mi chodzi.

— A o jaką?

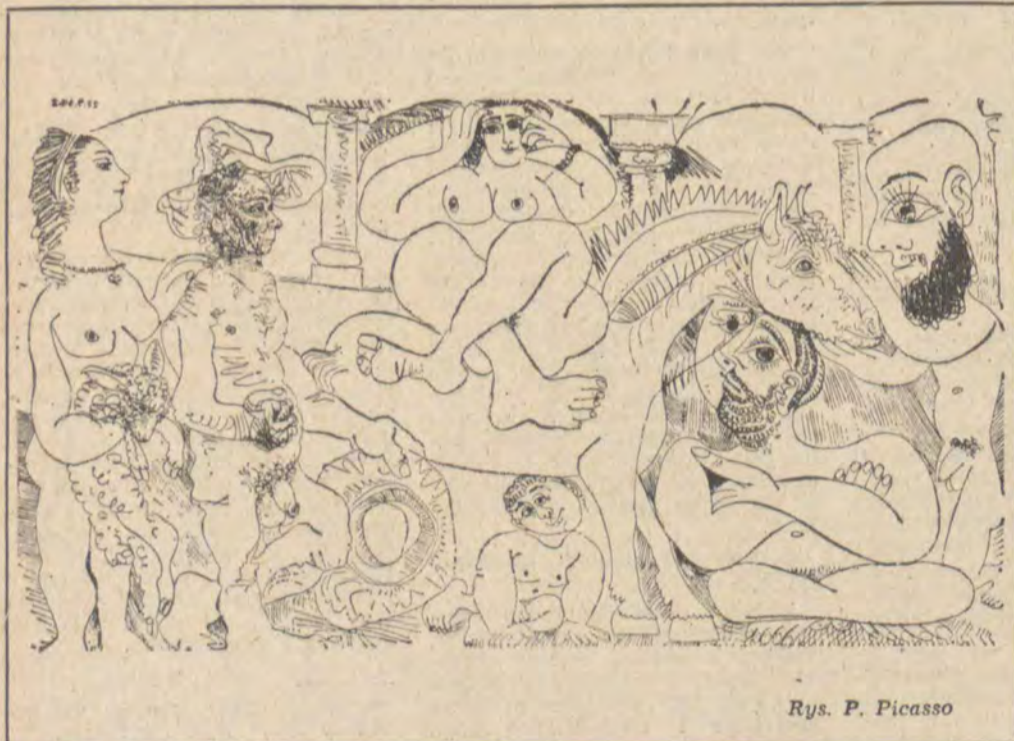
— O taką, żeby się coraz mniej brudzić.

— Doktoru — mówi przymilnie pani inspektorowa przysuwając swoje popiersie bliżej Bylina — co też panu po głowie chodzi. Człowiek zawsze się brudzi, chce czy nie chce. Tutaj trochę mniej, bo nie ma takiego kurzu i dymu, ale ja i tak trzy razy dziennie...

— Rozumiem — Bylin chce zrobić krok w tył, lecz natrafia na ścianę.

— No a teraz — mówi pani zaopatrzeniowa — chcę pana porwać na spacer, na kawę. Do ludzi kochanych, do ludzi...

Z podwórza dolatuje głos Stasi: taś, taś, taś...



Rys. P. Picasso

**LUDZIE  
XXV-lecia**

## Stanisław Łapiński

Pisanie o aktorze nastrocza zawsze niemal trudności. Sztuka aktorska, jak to wielokrotnie już powtarzano, jest ulotna, nie poddaje się opisowi, nie pozwala się zamknąć w słowach. Są to usiłowania podobne do przekazywania opisem zapachu kwiatów. Jak pisał Tuwim ile to trudu zanim się:

„tę woń w wyrazy wciśnie  
w fałszywe słowa i omyłne,  
co już, tuż tuż są niby  
bliskie,  
już wlaży w kwietny pył  
jak osa —  
— i nic. A przytknąć kwiat  
do nosa,  
powąchać raz i — wie się  
wszystko.”

Tak to jest i z opisywaniem aktora. Można to robić dokładnie i starannie, ale jak się zobaczy aktora na scenie, dopiero wtedy „wie się wszystko”.

Tym wstępem pragnę usprawiedliwić braki, jakie się znajdują niewątpliwie w moim skromnym szkicu o zjawisku, które się nazywa Stanisław Łapiński. Napisałam „zjawisko”, gdyż ten typ aktorstwa jaki reprezentuje Łapa (kłaniam się Panu Stanisławowi, i proszę o pozwolenie, abym go mogła tym popularnym skrótem nazwać) — ten typ aktorstwa zanika. Często patrząc na „zagrania” Łapy pełne jowialnego szczerzego humoru, chciałoby się zawołać: „patrzcie młodzi może ostatni...” Jest to bowiem gatunek aktorstwa komediowo-charakterystycznego, pełnokrwisty, o humorze bezpośrednim, nieco rubasznym, bardzo polski, bez domieszki ironii. Nasze czasy, które po doświadczeniach wojennych napędziły nas gryzącą ironią i niewiarą w dobroć ludzką — może dlatego nie mogą wydać aktorów o takim ciepłym i humorze, jak Łapa.

Łapiński w swoich zwierzeniach mówi, że jeszcze w szkole dramatycznej zakochał się w Fredrze. Myślę, że nie jest to miłość bez wzajemności. Postaci fredrowskie pasują do niego jak własna skóra. Zapewne dla tego, że humor Fredry jest tak pogodny, tak tolerancyjny dla ludzkich wad, że te krople goryczy, które się w nim niewątpliwie znajdują, rozpryskują się w pobłażliwym uśmiechu.

Łapa zaczął swą karierę aktorską w Poznaniu od roli

pierwszego murarza w „Zemście”. Był wtedy młody, drobny i chudy (tak, tak) Nie tylko warunkami zewnętrznymi, ale i doświadczeniem nie dorastał jeszcze do większych ról.

Ale i doświadczenia i warunków (w kilogramach)



Stanisław Łapiński i Ludwik Sempoliński w sztuce Fredry pt. „Pan Geldhab”.

Fot. A. Kaczkowski

szybko przybywało. Przycho- dzą role Radosta w „Ślubach panienskich”, Papkina w „Zemście”, Łatki w „Dożywociu”. Role te gra w teatrach Poznania i Bydgoszczy. Zbiegowi okoliczności zawdzięczam, że się w roku bodać 1931 — zetknęłam pierwszy raz z Łapą. Pracowałam wówczas w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu. Mielśmy wystawić „Śluby”, ale brakowało nam w zespole aktora odpowiedniego do roli Radosta. Dyrektor teatru Karol Benda nie lubił „dociągać” aktora do roli, do której nie ma dyspozycji. Łapa, którego Benda widział w Poznaniu w roli Radosta, pracował w tym okresie w Bydgoszczy, a więc w najbliższym sąsiedztwie. Został zatem zaproszony na gościnne występy. I wtedy po raz pierwszy odczułam to, co mnie zawsze frapuje w talencie Łapińskiego — jego autentyczność. Gdy wchodził na scenę, czuło się za nim całe ziemian- skie zaplecze, te morgi psze- niczne, jakiś dworek z ko-

lumiemkami i stajnię z do- brymi, dobieganymi końmi. Łapiński już w okresie przedwojennym przeszedł drogę rozwojową do pełnej dojrzałości aktorskiej. Świadczą o tym role, które grał na scenach warszawskich, gdzie między innymi obejmuje po Jaraczu rolę Szwejka w Teatrze Polskim i gra starego Siekierkę w „Spadkobiercach” Grzymały Siedleckiego w Teatrze Narodowym.

Jednakże pełny rozkwit ta- lentu Łapy nastąpił dopiero po wojnie w Łodzi, gdy do teatru wtargnął strumień klasycznego repertuaru, który bardzo rzadko ukazywał się na naszych scenach przed wojną. Teraz dopiero „dorwał się” Łapa do ról odpowiadających gatunkowi jego talentu. Bartolo w „Weselu Figara”, w „Zemście” najpierw Papkina, a potem za dyrekcji Iwo Galla w teatrze im. St. Jaracza — Cześnik. Jakże żałuję, że nie wi-

dużo pomogą. A niezawod- ne ucho Łapy wyczuwa wszystkie subtelności cesur, średniości i właściwej fra- zy intonacyjnej.

Miałam okazję grając z nim w sztuce Józefa Korze- niowskiego „Majątek albo imię” oraz w „Weselu”, wsłuchiwać się przez wiele wieczorów w szlachetne brzmienie wiersza w jego ustach. Przypominały mi się dawne czasy. Boć przecież Łapa uczył się w Warszaw- skiej Szkole Dramatycznej w latach 1915—1918, kiedy to jeszcze profesorami byli Mieczysław Frenkiel, Kazimierz Kamiński, Józef Kotarbiński, Aleksander Zelwe- rowicz, Teodor Roland. Wszyscy byli nie tylko mi- strzami aktorstwa, ale i mi- strzami mowy. Kochali i sza- nowali język polski, umiło- wali jego piękno i tę miłość umieli przekazać swoim ucz- niom. W mowie Łapińskiego brzmią nieraz echa tonów

le artyści. Dużo tego było i miejsca za zabrakło. Pragnę więc jeszcze tylko wspom- nieć o drugim umiłowanym autorze.

„Fredro był zawsze moim najulubieńszym autorem — mówi w swych zwierzeniach Łapa — myślałem, że tak już pozostanie, ale po zagra- niu Falstaffa muszę wyznać, i niech mi to Fredro wyba- cza, że go zdradziłem — dru- gą moją gorącą miłością stał się Szekspir”.

Piękne te obie miłości. Z ról szekspirowskich ma Ła- piński na swoim koncie Ste- fana w „Burzy” i obie wer- sje Falstaffa w „Wesolych kumoszka” i w „Henryku IV”. Falstaff wydrwiony i ośmieszony w „Kumoszka” jest postacią bardziej skom- plikowaną w „Henryku IV”. Ten łgarz, krętać i po pro- stu rzezimieszek rabujący na drogach i wciągający w swoje bezceństwa następcę tronu — jest przy całym komizmie postacią negatywną. Łapiński wydobyl całą chy- rość, bezczelność i drapież- ność postaci, ale okraślił ga- tunkiem wesolego hultaj- stwa, które rozbrajało. Zwa- szcza wbił mi się w pamięć monolog z drugiego aktu w rozmowie z księciem Wali, gdy następcę tronu i Falstaff zabawiają odgrywaniem roz- mowy ojca-króla z synem. Falstaff udaje karczonego księcia, a księżę udając kró- la rzuca gromy na wszystkie wady i przestępstwa Falsta- ffa. I wtedy Sir John-Łapa usprawiedliwiając zrecznymi paradoksami swoje postęski kończy „nie wyganiaj Jasia Falstaffa. Gdy wygonisz Ja- sia Falstaffa — to wygonisz cały świat”. Zdanie to za- brzmiało jakąś pełnią praw- dziwego przekonania i nie- mał liryzmu. Spod skorupy cynicznego obwiesia odezwał się człowiek, którego roz- mach i nieokielznany tempe- rament rozniósł wszystkie bariery obyczajów, czy praw. Żył w świecie swoim włas- nym, w świecie przywilejów, które sam sobie nadawał, mi- łów, które stwarzał i prawie w nie wierzył. W świecie hulanki i dość nikczemnych zabaw, w które młodego księ- cia wciągał. Ten świat musiał mieć jednak jakiś po- wab, boć przecież dla samego rozbijania po drogach młody Henryk nie przebywał by w tej łotrowskiej kompanii. I wszystko to brzmiało w tym zdaniu „gdym wygo- nisz Jasia Falstaffa — to wygonisz cały świat”. Zda- wałoby się, że przy dzisiejs- zej technice, zamiast nie- ugodnym piórem szkicować sylwetkę aktora, winno się go raczej utrwalić na taśmie filmowej. Widziałam Łapę parę razy na ekranie i za- wsze myślałam, że ta znako- miła postać, ta charakter- styczna twarz i wyraziste oko, aż proszą się o scenar- iusz. Tak, jak we Francji pisze się scenariusze dla Fernandela. Takim aktorem mógłby być u nas Łapiński. Ale u nas nie ma mody aby pisać scenariusze dla akto- rów. A szkoda.

## POLONICA

LENIN I POLSKA

W związku z przypada- jącą w roku przyszłym set- ną rocznicą urodzin Włod- zimierza Lenina wydaw- nictwa radzieckie przygo- towują cały szereg publi- kacji jubileuszowych. Na- kładem APN ukaże się je- sienią w tłumaczeniu pol- skim broszura A. Arnol- dowa pt. „Lenin a postęp kulturalny”. W tym sa- mym czasie wydawnictwo „Chudożestwiennaja lit- eratura” opublikuje anto- logię wierszy o Leninie, gdzie znalazł się utwór Władysława Broniewskie- go. Antologia o podobnym charakterze ukaże się rów- nież w Moidawii — wśród utworów pisarzy całego świata Polskę represen- tuje w niej wiersz Julia na Tuwima.

Trudno pominąć wyda- nictwa poświęcone pobytu Lenina w Polsce. W nakładzie 30 tys. egzem- plarzy ukaże się już za kilka tygodni scenariusz filmowy E. Gabryłowicza i S. Jutkiewicza pt. „Lenin w Polsce”. W cyklu „Leninowskie miejsca w ZSRR i za granicą” nakła- dem „Planety” ukaże się seria barwnych widokówek pt. „Polska”. Będzie ona nosiła podpisy rosyjskie, polskie i angielskie.

### ZUKROWSKI W „LITIE- RATURENOJ GAZIETIE”

Ukazujący się w Mo- skwie tygodnik „Littera- turnaja Gazeta” zamie- ścił w 17 numerze obszerny artykuł znanego pol- skiego pisarza Wojciecha Zukrowskiego o źródłach przyjaźni polsko-radziec- kiej. W artykule tym pt. „Zawieszano Leninu” (Wskazania Lenina) czyta- my m. in.:

„Naród polski święcie cześci pamiętki po Leninie, strzeże każdego jego śladu na naszej ziemi. Wszędzie, gdzie niegdyś przebywał Lenin, znaleźli się ludzie, którzy, nawet nie znając go osobiście, instynktow- nie odgadywali w tym skromnym cudzoziemcu ja- kąś niespotykaną wielkość ducha”.

Podając wiele interesu- jących szczegółów na te- matu pobytu Lenina w Polsce, przedstawiając sto- sunek wodza Rewolucji Październikowej do kultu- ry polskiej, Zukrowski cel- nie zauważa, że „ze współ- noty ideowej, z leninow- skich wskazań rozdziło się nasze braterstwo i wiecz- na przyjaźń narodów ra- dzieckich i polskiego”.

Zawołać należy, że inte- resujący artykuł Zukrow- skiego nie został opubli- kowany do tej pory w pol- skiej prasie literackiej.

K. F.

## POLONICA

### JERZY KWIECIŃSKI

## DOMEK Z POGRANICZA FIKCYJI

Upalny dzień na schyłku lata 1943 roku w okupowanej Warszawie. W małym domku z ogródkiem, na peryferiach stolicy, ukrywa się przed okupantem nie- młody już mężczyzna, głowa kilkuosobowej rodziny; w kręgu bliskich osób prze-

żywa, wypełnione lękiem — takie właśnie jak ten, po- dobne do siebie dni i noce okupacji”.

Oto trzy klasyczne jedno- ci — akcji, miejsca i cza- su, z tą jednak różnicą, że występuje jeszcze — niezna- ny klasycznemu dramato- wi pośrednik pomiędzy au- torem i odbiorcą w posta- ci narratora, który, jak wie- my, bywa nieraz literackim odpowiednikiem autora.

Nie byłaby celowa próba streszczenia „Walcącego domku”. Książka przedsta- wia codzienne wydarzenia czasu okupacji, jakie były udziałem przeciętnej rodzi- ny, walczącej o minimum warunków materialnej egzy- stencji, o zachowanie życia choćby przez jeszcze jeden dzień, ale — nie za cenę wyrzeczenia się fizycznego i moralnego uczestnictwa w ogólnonarodowej sprawie; przeciwnie — niemal wszy- scy biorą udział w powsze-

chnej, najbardziej chyba masowej konspiracji, jaką znały dzieje. A przy tym żyją normalnie. I bawią się, i kochają...

Kto pamięta realia i at- mosferę życia w tzw. gene- ralnym gubernatorstwie, a zwłaszcza w Warszawie, mu- si autorem przyświadczyć: tak istotnie było! Ale prze- cież tego rodzaju historycz- na weryfikacja nie starczy za ocenę utworu literackie- go, a mamy chyba dobre prawo uważać „Walcący domek” nie za pamiętnik, lecz traktować jako utwór prozy powieściowej, do czego upoważnia na wskroś li- teracki zmysł kompozycyj- ny, przypominający trochę konstrukcję „znalezionego rękopisu”.

Różnica w tym, że narra- tor nie „znajduje” cudzego rękopisu, lecz ma na podorę- dzie własny, do którego się odwołuje. Mamy więc do-

czynienia z pamiętnikiem w pamiętniku. Szersze ra- my pierwszego obejmują całość akcji utworu, węższy i podporządkowany tok dru- giego jest wpisany w ca- łość w postaci filozoficznej rozprawki, w której pisanie zagłębia się narrator, co chwila od niej odrywany przez bieżące wydarzenia dnia. Ale znowu powraca do pisania, aby komentować ok- kupacyjne sprawy, aby w ten sposób ocalić swoją wiarę w sens historii, w ludzkość. To zresztą jedyna forma walki dostępna ukry- wającemu się bohaterowi.

Zamysł, jak widać, ambit- ny, otwierający szerokie pole do literackiego mane- wru na trzech płaszczyznach (bo i trzecią mieliby auto- rzy, gdyby chcieli stworzyć krytyczny dystans do rela- cji narratora). Ale owe fi- lozoficzne zapiski, przechod- zące w raptularz do spraw

magnych, nie prowadzą do uogólnienia, które mogłoby stanowić punkt utworu i jako- się ta misterna kon- strukcja niepostrzeżenie roz- sypuje.

Zresztą, najwartościowszy intelektualnie fragment książki znajduje się w tej niejako zewnętrznej, narra- cyjnej warstwie książki, jest to rozmowa z człowiekiem nazywanym Bafciem, w któ- rej roztrząsa się — bodaj nie rejestrowaną w naszej literaturze, choć dość roz- powszechnioną w latach ok- upacji — postawę, wyra- żającą się w słowach: „zgi- nąć co do jednego, dla... dobra narodu!”. Godne to utrwalenia jako świadectwo aberacji myślowych do ja- kich doprowadzał nieraz prześladowanych bezprzy- kładny terror okupanta.

W „Walcącym domku” oprócz znamion oryginalno- ści w ujęciu okupacyjnego

tematu ujawnia się też pe- wien rys wspólny z ukazu- jącymi się ostatnio utwora- mi prozy, pisanyymi w pierwszej osobie liczby po- jedynczej. Można dostrzec jakby dwoistość pragnień: aby ów podmiot literacki w postaci narratora był i — jednocześnie! — nie był u- tożsamiany z autorem, aby czytelnik traktował utwór zarazem jako literacką fik- cję i jako pamiętnikarski dokument. Bo i po co wspo- mina się w książce kilka- krotnie o „panu Brzech- wie”? Trochę chyba po to, żeby powiedzieć: Brzechwa żył naprawdę, więc i nasz domek nie jest zmyślony...

A przecież trzeba „zmy- ślać”, jeśli się tworzy.

\* Adam Ostoja i Andrzej Ostoja „Walcący domek”. Wy- dawnictwo Łódzkie 1969; s. 126. Obwolutę projektował Jerzy Sowiński.

## „Polak-Węgier dwa bratanki”

O współpracy kulturalnej między Węgrami i Polską rozmawiamy z II Sekretarzem Ambasady Węgierskiej Republiki Ludowej JOZSEFEM BOLCSKEI:

**ODGŁOSY:** Mimo odrębności językowej, która niewątpliwie utrudnia kontakty, oba narody łączy dawna przyjaźń i sympatia. Gdzie należałoby szukać ich źródeł?

**J. BOLCSKEI:** — Wśród wielu przyczyn dominującą rolę odgrywa ogromne podobieństwo historii Polski i Węgier. Dokładkowi po jedzie się w Polsce czy na Węgrzech, to stare zamki, miasta, muzea, uniwersytety itp. mówią o wspólnym losie i tradycjach. Wspólni władcy w wiekach średnich, wspólna walka narodowo-wyzwoleńcza w okresie Wiosny Ludów, udział Polaków w rewolucji 1919 r. na Węgrzech, wszystko to zbliżyło i utrwaliło sympatię obu narodów. Trzeba również wspomnieć o ożywionych kontaktach kulturalnych sięgających czasów założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Największą jednak rolę odegrały lata po drugiej wojnie światowej, kiedy to dawne kontakty i tradycje na przyjaźń, znajdujące swe odbicie nawet w przysłowiu „Polak — Węgier dwa bratanki” — nabrały socjalistycznej treści. Od 1945 r. przyjaźń naszych narodów wzbogaciła się o nowe cechy i oparła na nowych zaśladach. Należy tu jeszcze wspomnieć iż od 1948 roku między obu naszymi krajami zawarto wiele różnego rodzaju umów i porozumień, których realizacja przyczyniła się do systematycznego rozwoju współpracy we wszystkich dziedzinach życia.

**ODGŁOSY:** — Całe pokolenie młodych Polaków wychowało się na „Chłopcach z Placu Broni” Molnara. Przeciwny Polak zna Lisztą, Petoflego, Bełę Bartoką. Jak wygląda podstawowy zasób wiadomości o polskiej kulturze u przeciętnego Węgra?

**J. BOLCSKEI:** — Przeciwny Węgier spośród klasyków literatury polskiej zna Sienkiewicza, Reymonta, Mickiewicza, z kompozytorów Chopina, Wieniawskiego i Moniuszkę. Pierwszą pozycją literatury polskiej przełożoną na język węgierski w 1834 r. był „Konrad Wallenrod” Mickiewicza. Każdy Węgier pamięta słowa tego wielkiego poety polskiego, który w czasie Wiosny Ludów wydał słynną odezwę do narodu

węgierskiego. „Pan Tadeusz” był dwukrotnie tłumaczony na język węgierski. Najpoczytniejszym polskim pisarzem jest niewątpliwie H. Sienkiewicz. W 1847 r. Teatr Narodowy w Budapeszcie wystawił „Mazepę” Słowackiego.

**ODGŁOSY:** — W jaki sposób poszerzamy tę wiedzę o obu krajach?

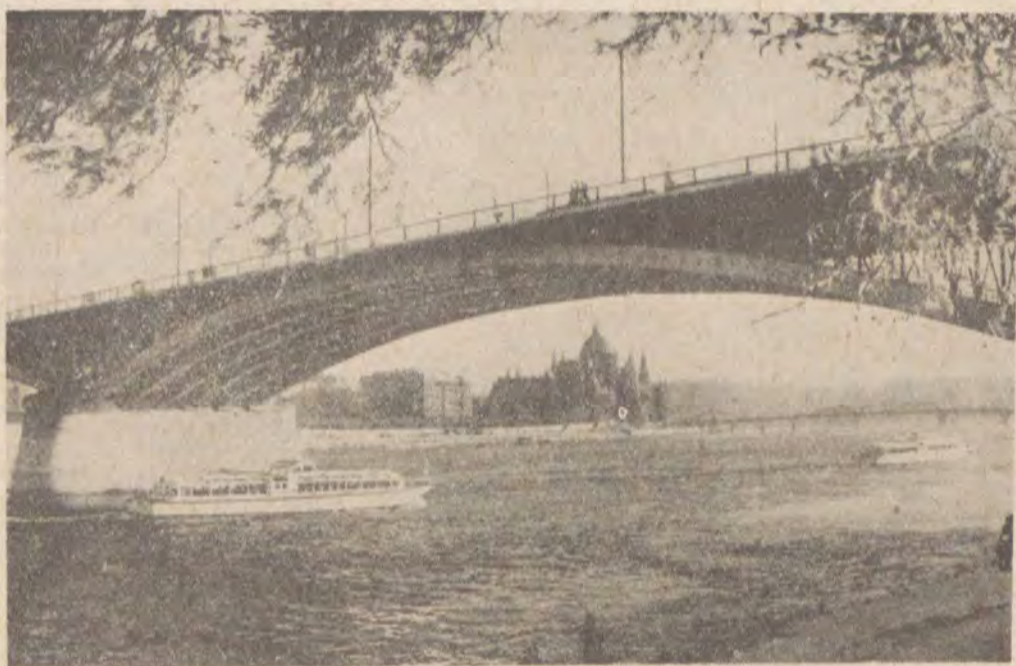
**J. BOLCSKEI:** — W styczniu 1948 r. podpisano węgiersko-polską umowę kulturalną. Ta konwencja była pierwszym tego typu porozumieniem międzynarodowym zawartym przez rząd Polski Ludowej. W ubiegłym roku obchodziliśmy 20 rocznicę podpisania umowy kulturalnej. Bilans 20-letniej współpracy, wzajemnego poznawania i popularyzacji kulturalnych osiągnięć obu krajów jest imponujący. Złożyła się nań współpraca w dziedzinie kultury, sztuki, nauki, a także turystyki i sportu. W ciągu tego okresu 120 pozycji węgierskiej literatury pięknej przełożono na język polski, a blisko 200 tytułów literatury polskiej na język węgierski. Ukazały się tłumaczenia „Chłopów”, „Quo vadis”, „Ogniem i mieczem”, „Krzyżaków”, „Faraona”, „Lalki” i innych. Na Węgrzech ukazało się 12 wydań „Chłopów” Reymonta.

**ODGŁOSY:** — A literatura współczesna?

**J. BOLCSKEI:** — Po wojnie najbardziej znaną stała się książka L. Rudnickiego „Stare i nowe”. Zaczęto też wydawać innych pisarzy współczesnych Broniewskiego, Kruczkowskiego, Iwaszkiewicza, a ostatnio Dygata, Brezę, Centkiewiczów, Putramenta, Lema, Fiedlera. Natomiast w Polsce niewątpliwie najbardziej popularnym pisarzem węgierskim jest Maurycy Jókai. Jego książki osiągnęły rekordowe wydania. Poza Jókaim znany jest również Mikszath, Móricz, a ze współczesnych pisarzy Dery, Illyes, Fejes i Laszlo Nemeth.

**ODGŁOSY:** — Do tej pory mówiliśmy o literaturze. A przecież wymiana kulturalna obejmuje też inne dziedziny.

**J. BOLCSKEI:** — Oczywiście. Na przykład polskie teatry wystawiły 23 sztuki węgierskie, z których najbardziej popularne są sztuki F. Molnara „Liliom”, „Raz,



dwa, trzy”. Ostatnio Opera Poznańska wystawiła operę współczesnego kompozytora węgierskiego Szokolaiego „Krwawe gody”. Teatry węgierskie wystawiły 15 sztuk polskich. Największy sukces osiągnęła sztuka G. Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej” wystawiona w pięciu teatrach. Z utworów operowych na czoło wysuwa się „Halka” Moniuszki. W ramach wymiany zespołów teatralnych na Węgrzech występowały: Teatr Groteska, Ateneum i Narodowy. W Warszawie występował Teatr Narodowy z Budapesztu.

W Polsce wyświetlono dotychczas 120 filmów fabularnych produkcji węgierskiej. Publiczność węgierska obejrzała aż 160 filmów fabularnych produkcji polskiej.

Na Węgrzech koncertowali znani artyści polscy: Czerny-Stefańska, Hesse-Bukowska, Smedzińska, Witkomirska, Rowicki, Kędra oraz zespół „Mazowsza” i „Śląska”. Ostatnio coraz większe uznanie zdobywają utwory polskich kompozytorów — Pendereckiego i Bairda.

Natomiast w Polsce występowała Annie Fischer, I. Ungar, Ferencsik, Państwowy Zespół Tańca, orkiestry symfoniczne i ludowe.

**ODGŁOSY:** — Jakie są formy organizacyjne wymiany kulturalnej?

**J. BOLCSKEI:** — Wymiana kulturalna opiera się na zasadzie dwuletnich planów pracy. W celu rozszerzenia tych kontaktów poszczególnym placówkom kulturalnym naszych krajów nawiązywały bezpośrednią współpracę. Powołano do życia na Węgrzech Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej, a w Polsce Węgierski Instytut Kultury. Ośrodki dostarczają sporo informacji z dziedziny życia politycznego, kulturalnego i gospodarczego swych krajów, organizują różnego rodzaju imprezy, od czyty, prelekcje, spotkania itp.

**ODGŁOSY:** — Czy Pana zdaniem szerokie kontakty turystyczne między Węgra-

mi i Polską są dostatecznie wykorzystywane dla popularyzacji kultury obu krajów?

**J. BOLCSKEI:** — Ruch turystyczny na szeroką skalę rozpoczął się dopiero w ostatnich latach. Węgierskie Biuro Podróży IBUSZ współpracuje z 6 polskimi instytucjami turystycznymi. Oto dane dotyczące wyjazdów Polaków na Węgrzy: w roku 1961 odwiedziło Węgry 19.100 turystów polskich, zaś w 1967 już 108.200.

Liczba turystów węgierskich, którzy odwiedzili Polskę w 1967 r. osiągnęła aż 136 tys. Węgrzy chętnie odwiedzają Polskę.

Wydaje mi się, że wyjazdy turystyczne nie zawsze są w pełni wykorzystane dla poznania kultury obu krajów. Szczególnie dotyczy to turystyki indywidualnej, gdyż turystyka zbiorowa posiada większe możliwości.

Węgierskie Biura Turystyki pragną pokazać polskiemu turyście nie tylko piękno węgierskiego krajobrazu, ale starają się zapoznać go z kulturą. Ułatwiają obejrzeć spektakli teatralnych, zwiedzanie muzeów, zabytków itp. Aby przezwyciężyć trudności językowe Węgierski Instytut Kultury w Warszawie co roku organizuje kursy języka węgierskiego dla turystów. Ostatnio biura podróży wydają sporo folderów i prospektów, w których można znaleźć informacje dotyczące m. in. życia kulturalnego Węgier.

**ODGŁOSY:** — Węgry przeprowadzają w tej chwili reformę gospodarczą. Czy ma ona wpływ także na politykę kulturalną?

**J. BOLCSKEI:** — Celem reformy gospodarczej na Węgrzech jest poprawa funkcjonowania ekonomiki i chociaż dotyczy działalności produkcyjnej, to ma ona również wpływ na kulturę. Cele polityki kulturalnej oczywiście pozostają nie zmienione, a reformy gospodarcze pozwolą zapewnić dla ich realizacji odpowiednie środki.

Aby ułatwić powstawanie i popularyzację wartościowych dzieł literatury i sztuki zmieniono system dotacji budżetowej.

**ODGŁOSY:** — To znaczy...

**J. BOLCSKEI:** — Państwo finansuje przede wszystkim te utwory i dzieła sztuki, które zawierają wysokie wartości wychowawcze i artystyczne, natomiast nie dotuje tych pozycji, które są artystycznie słabe lub dyskusyjne. Wydawca, czy teatr mogą je publikować lub wystawiać na własne ryzyko.

Środki na dotacje kulturalne pochodzą z opodatkowania różnorodnych imprez rozrywkowych. Stworzono również system zainteresowania materialnego we wszystkich dziedzinach działalności twórczej.

**ODGŁOSY:** — Jakie Pana zdaniem są możliwości pogłębienia i rozszerzenia wymiany kulturalnej między Węgrami i Polską?

**J. BOLCSKEI:** — W ubiegłym roku podpisaliśmy długoletnią umowę kulturalną. W oparciu o dotychczasowe doświadczenia wprowadziliśmy do niej szereg zmian i udoskonalień. Popieramy bezpośrednie kontakty między poszczególnymi instytucjami kulturalnymi obu stron. Rozpoczynamy pracę nad tym, aby w podjętych szkołach znalazło się więcej materiałów dotyczących drugiego kraju. Ma to niewątpliwie ogromne znaczenie. Mamy zamiar robić filmy koprodukcyjne. Dla złagodzenia trudności językowych będziemy kształcić nowe kadry tłumaczy literatury pięknej.

Fakt, że w tym roku obchodzimy 25-lecie Polski Ludowej, a w przyszłym roku będziemy obchodzić podobną rocznicę u nas, znajdzie odpowiedni wyraz również we współpracy kulturalnej. Planujemy zorganizowanie szeregu imprez kulturalnych, jak np. dni kultury, pokazy filmów, wystawy itp.

Rozmawiała:  
**BOGDA MADEJ**



### LISTY WIĘZIENNE

W ostatnim czasie znacznie rozszerzyła się lista wydawnictw poświęconych martyrologii narodu polskiego podczas okupacji hitlerowskiej. Szczególne miejsce zajma na niej materiały epistolarne — listy więzienne Krystyny Wituskiej opracowane, wybrane a częściowo i przetłumaczone przez Wandę Kiedrzyńską.

Ich autorką jest młoda Polka, która z współpracą z komórką wywiadowczą Armii Krajowej wyrok niemieckiego sądu skazana została na śmierć i stracona. Aresztowana jesienią 1942 roku przebywała kolejno w berlińskich więzieniach Alexanderplatz oraz Alt-Moabit, wreszcie w więzieniu Halle — Saale, gdzie została ścięta. Listy, które młodziutka więźniarka nadsyłała z Rzeszy do swych rodziców i przyjaciół, są przetrzymywane przez przekazem dojrzenia poprzez walkę, pokonywania strachu i śmierci a w ostatecznym rachunku wielkiego, moralnego tryumfu nad wrogiem. Obdarzona niepospolitym talentem literackim i zdolnością mi językowymi (większość listów została napisana w języku niemieckim ze względu na wymagania więziennej cenzury) Krystyna Wituska pozostawiła po sobie wielkiej wagi dokument osobowości własnej, potrafiła też oddać w korespondencji atmosferę hitlerowskich więzień zawierając w niej wiarygodny i sugestywny obraz cierpienia i nadziei, rozpaczy i woli przetrwania.

„Jestem zupełnie spokojna — pisze do rodziców w ostatnim liście — wierzę mi, że zostaną spokojna do ostatniej chwili. Mój ostatni obowiązek względem Polski i Was — to umrzeć dzielnie!”

Listy Krystyny Wituskiej, utrzymane w elegijnym tonie, są wstrząsającym oskarżeniem wojny i faszyzmu. Swoim znaczeniem dorównują książce, która zrobiła światową karierę: „Pamiętniki Anny Frank”. Nie waham się też nazwać je największym wydarzeniem wydawniczym ubiegłego roku.

K. F.

„Na granicy życia i śmierci” — Listy więzienne Krystyny Wituskiej, PIW 1968 str. 133.

# WIA DUKT po raz TRZECI

Dalszy ciąg ze str. 5

Dwóch jest generalnych wykonawców. Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich z kierownikiem robót inżynierem Andrzejem Dolińskim. Drugim jest Płockie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych. Nawierzchnię wykona Miejskie Przed-

biorstwo Robót Drogowych. Roboty kolejowe i tramwajowe wykonuje Przedsiębiorstwo Robót Kolejowych. Te dziewięćdziesiąt sześć pali pomagało nam wbić Przedsiębiorstwo Hydrogeologiczne. Wszelkich podłączeń, wyłączeń oraz kabli dostarcza nam „Elektromontaż”. Oświetleniem zajmuje się Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne.

Trzeba było przerobić dotychczasowe instalacje gazowe, dokonały tego Zakłady Gazownicze Okręgu Łódź. Brała też udział Gazobudowa z Zabrze. A jeszcze Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Wodnych i Kanalizacyjnych. Kolejowe Zakłady Zabezpieczenia Ruchu i Ładunku „Zielonka” k/Warszawy, Służby PKP i MPK. Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych zabezpiecza budynki.

Zakłady dostarczają buduleca dla wykończenia wiaduktu i pod torowiska tramwajowe.

Inżynierowie pokolenia „Kolumbów”. Wkręceni w powojenny entuzjizm odbudowy, budowy i ulepszeń. Znają się dobrze. Od lat pracują razem. Chcą mi wy-

jaśnić tak, bym mógł zrozumieć cały skomplikowany mechanizm ich roboty.

Rozkładają mapę Polski, na której kółkami zaznaczone są miejscowości w których wznosi swoje budowy. W każdym, chyba województwie jest kilka takich kółek. Wszystkie połączone liniami z Płockiem, siedzibą przedsiębiorstwa.

— Załogę mamy dobrą. To bardzo ważne. Sami fachowcy. Specjaliści w swoich dziedzinach.

— No, a czy ja na przykład mógłbym zostać przyjęty?

— Co pan skończył?

— Liceum.

— Niestety. Nie da rady. Potrzebujemy fachowców z kwalifikacjami — powiedział zupełnie tak samo jak ten brygadziści z którym rozmawiałem godzinę wcześniej, — na dole, pod rusztowaniami.

Niech pan sam powie, czy poszedłby pan zespawać dwa kawałki żelaza, kiedy mróz, dwadzieścia stopni, albo kiedy wiatr rzuca na twarz śnieg z deszczem, kiedy trzeba jedną ręką trzymać się ja-

kiego pręta, a w drugiej trzymać całą tę maszynę do spawania. Albo kiedy jest słońce i trzeba przez cały dzień wytrzymywać w upale.

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— Widzi pan. A spawacz Jan Malinowski, poszedłby na pewno. Na niego zawsze można liczyć. Gotów jest wykonać najtrudniejszą pracę, w każdych warunkach atmosferycznych. Tak samo Józef Pietrasik, który jest pomocnikiem cieśli skim. Albo brygadziści, tacy jak Wegner, Ługowski czy Rzepecki — to ludzie uniwersalni na takiej budowie jak ta.

— A Burak — przypomniałem sobie z jakim zapalem ścisnął mi rękę.

— Stucham? — powiedział inżynier.

— Nic. Już nic. To nieważne. Kiedy skończy się ta budowa?

— W terminie. Niech mi pan wierzy. Nam — poprawił się inż. Kamiński. W styczniu, w rocznicę wyzwolenia, przejdzie pan po naszym wiadukcie. tramwajem.

MAREK KRUZEROWSKI



# Konstytucja marcowa

Dalszy ciąg ze str. 3

borach pisał: „Nie chcemy Sejmu z wyjedzonymi przez sepy mózgiem. Nie uznajemy ciała prawodawczego, skłonego z nieokrzesanów i umysłowych analfabety”. E. Niewiadomski na procesie o zabójstwo prezydenta G. Narutowicza o sejmie 1919 roku wybranym w oparciu o pięcioprzymiotnikowe wybory powiedział: „Najzawilsze zagadnienia państwowe, losy Polski oddane były w ręce farnali i pastuchów bydła”.

Polska II Rzeczypospolitej wkroczyła na drogę demokracji parlamentarnej. Jej model ustroju politycznego został utrwalony w Konstytucji marcowej z 17 marca 1921 roku, deklarującej zasadę zwierzchnictwa narodu, formalnie dopuszczającej do udziału w życiu politycznym kraju wszystkich obywateli, określającej dominującą pozycję władzy ustawodawczej nad wykonawczą. Na owym instytucjonalnym osłabieniu władzy wykonawczej w stosunku do ustawodawczej zaciążyło wiele czynników, spośród których decydującą wydaje się być z jednej strony nieufność do rządów absolutystycznych dawnych państw zaborczych przeniesiona na stosunki krajowe w postaci obawy przed „absolutum dominium” władzy wykonawczej, a także — z drugiej strony — nieufność stronnictwa prawicy do najpoważniejszego potencjalnego kandydata na czołowe stanowisko w państwie — Józefa Piłsudskiego. Model ustrojowy, wprowadzony w Konstytucji marcowej, nie odbiegał w zasadzie od tego, jaki przyjmowały po I wojnie światowej inne państwa europejskie — Austria, Czechosłowacja, Litwa, Łotwa, Estonia itd. Zarówno w Polsce jak w innych krajach przyjęcie demokratycznych założeń ustroju „nastąpiło pod wpływem powojennej atmosfery, przesyconej dążeniami rewolucyjnymi i aktywizacją społeczną i polityczną mas ludowych”. Reprezentacje uchwalające ustawy konstytucyjne „strzegły uważnie aby żadna jednostka nie otrzymała władzy arbitralnej. Autorzy większości konstytucji bali się wyposażać szefa egzekutywy w silniejszą władzę. Niektóre konstytucje swą nieufność do władzy wykonawczej posunęły aż do wprowadzenia zasady przewodniczącej wybór ministrów przez parlament. Tendencje te były wyrazem reakcji społeczeństwa tych krajów, a tym samym i twórców

konstytucji, na przeszłość, którą charakteryzowały rządy autorytatywne i antydemokratyczne” — powiada znany badacz dziejów polskiego parlamentaryzmu.

Ocena systemu rządów, wprowadzonego przez Konstytucję marcową, nie jest bynajmniej prosta. Z jednej strony nie ulega wątpliwości, że przyznanie pełni praw politycznych wszystkim obywatelom państwa w poważnym stopniu przyczyniło się do neutralizacji występujących wówczas na stropach rewolucyjnych „Okres utrwalania się państwa polskiego był równocześnie okresem likwidacji rewolucji, która przyniosła Polsce niepodległość, ale nie dała jej przekształcenia ustroju społecznego. Wstrząs, którego doznał ustroj kapitalistyczny, zaczął przemieszczać się na marginesie życia parlamentarnego, to jednak stronnictwa reprezentujące burżuazję i koła obszarncze nie mogły w tym systemie wykorzystywać jawnie aparatu państwowego dla realizacji li tylko swych klasowych interesów, musiały godzić się niekiedy na różne ustępstwa na rzecz klasy robotniczej czy chłopstwa. Dlatego też ma niewątpliwie rację M. Pietrzak, kiedy powiada: „Pamiętając o wspomnianych wyżej ograniczeniach demokracji parlamentarnej w Polsce, podkreślić jednak należy, że była to w konkretnych warunkach czasu i miejsca najbardziej korzystna dla mas pracujących forma ustroju politycznego, zapewniająca wszystkim obywatelom formalnie równe prawa polityczne. Gwarantowała, mimo różnic i często dość znacznych ograniczeń, korzystanie z praw i swobód obywatelskich. Stwarzała dla klasy robotniczej i pracującej chłopskiej warunki umożliwiające im prowadzenie walki zarówno o poprawę położenia materialnego, jak i o zmianę ustroju społecznego niesprawiedliwości społecznej. Ułatwiała też i przyspieszała proces społecznego uświadamiania i politycznego organizowania mas pracujących. Parlamentarna republika demokratyczna stanowiła, jak wskażywał W. Lenin, najbardziej postępową formę państwa burżuazyjnego”.

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

\*) Z roku 1966.

Doświadczenia wykazały, iż wszystkie procesy mózgowe mogą się odbywać automatycznie i że człowiek nawet nie uświadamia sobie własnych reakcji. Impuls przenika do świadomości tylko w tym wypadku, gdy oprócz komórek mózgowych, bezpośrednio biorących udział w przesyłaniu impulsu, informację otrzymują również miliony innych. Takie „echo” powinno trwać minimum pół sekundy. Tylko wówczas pojawia się to, co nazywamy świadomością. Mózg jest więc swego rodzaju elektroniczną maszyną obliczeniową, a świadomość — reakcją na otrzymaną informację.

W początkach 1968 roku, jednocześnie aż sześć amerykańskich ośrodków naukowo-badawczych poinformowało opinię publiczną o niewiarygodnych wprost w darzeniach naukowych, znalazł sposób przenoszenia wiedzy z mózgu człowieka zmarłego do mózgu człowieka żywego. Jak wielki krok zrobiono w tej dziedzinie wykazały eksperymenty na szczurach, dokonane w latach 1967-68. Najpierw przeprowadził je amerykański profesor Richard Gay. Po nim — z takimi samymi rezultatami — jeszcze trzy grupy eksperymentatorów. Gay zademonstrował na szczurach, iż drogą wprawy ekstrakta mózgowego, pobranego od martwego dawcy, można „naładować” mózg żywego odbiorcy. Szczurom zamkniętym w klatce „dyktowano” bardzo nieprzyjemne przeżycie. Z klatki wiodły wąskie przejścia do dwóch komór: jednej nieprzezroczystej, w której panowała zupełna ciemność i do drugiej — szklanej, przezroczystej i bardzo jasnej. Zwierzęta, wiedzione instynktem, zawsze wybierały zaciemnioną komorę. W trakcie eksperymentu, gdy szczury znalazły się w ciemnym pomieszczeniu, komorę przemieniono w miejsce tortur: w przeciagu 5 sekund poddawano je elektrowstrząsam. Ta bolesna tortura utrwałała się w pamięci zwierząt i wytworzyła w nich trwałe odruchy warunkowe. Odtąd nie można ich było ani zwabić, ani zapędzić do ciemnej komory, wołały ją, a nawet uważając ją za bardzo bezpieczną. „Wyksztalcione” w ten sposób szczury uśmiercono. Ich mózgi umieszczono w mieszaninie kwasu karbolowego i roztworu fizjologicznego. Z tej jednorodnej mieszaniny mózgowej, wielokrotnie przepuszczonej przez wirórkę, profesor Gay wydzielił sproszkowany ekstrakt, który następnie zastrzyknął szczurom nie mającym nawet najmniejszego wyobra-

żenia o „komorze tortur”. I oto rewelacja: po zastrzykach zachowanie szczurów zmieniło się gwałtownie. Już po upływie dwóch godzin od dokonania iniekcji, szczury okazywały paniczny lęk przed zaciemnioną komorą! Prawdopodobnie można znaleźć jakiegoś utalentowanego dawcę mózgu. Wiele laureatów Nagrody Nobla proponowało już swoje mózgi do eksperymentów naukowych. Ostatnio zrobił to amerykański genetyk Herman J. Muller. Czy jednak uda się znaleźć człowieka, który zgodzi się na zastrzyk cudzej pamięci, na wprowadzenie mieszaniny, nie dającej się skontrolować? Dotąd nie udało się odwirować innych umiejętności...

Kto zechce za pośrednictwem strzykawki zdobyć wiedzę innego człowieka, będzie też musiał przejąć całą gorycz nieprzyjemnych, a może nawet tragicznych, doświadczeń życiowych dawcy mózgu, nagromadzonych w jego pamięci. Niemiecki profesor Jungar utrzymuje, iż „jedynym sposobem wykonania tego zamierzenia

dzienia rozmowy. Inna 68-letnia pacjentka, cierpiąca na skrajne osłabienie pamięci, zaczęła wszystko pamiętać.

Laboratorium firmy „Ebbot” w Chicago udało się widocznie wynaleźć substancję, stymulującą syntezę RNK. Jej działanie graniczy z magią. Substancję wypróbowano na szczurach. Uczono je, na określony znak, zeskakiwać z deski. Szczury, którym podano tabletki nauczyły się tego pieć razy szybciej, niż szczury, którym preparatu nie podawano. W 1966 roku przeprowadzono pierwsze doświadczenia na ludziach. Ich wyniki okazały się równie bardzo obiecujące. Jednakże wkrótce potem zarówno preparat firmy „Ebbot”, jak i wyniki eksperymentów objęto ścisłą tajemnicą.

Kierować można nie tylko pamięcią, lecz również innymi funkcjami mózgu. W Nowym Orleanie, prof. Robert Chitt wmontował w czaszkę pewnego barmana cienki przewodnik i odtąd barman stał się pierwszym w świe-

Tymczasem do arsenału chirurgii mózgowej włączono nową zdobycz nauki: gię bokie elektrosody do mózgu. Metoda ta stała się już powszechna w operacjach tego niezwykle delikatnego organu ciała ludzkiego. Niemiecki profesor T. Richter skonstruował nawet tzw. „aparat celowniczy”, przy pomocy którego chirurg, ze zdumiewającą precyzją, sięga do dowolnie określonego miejsca mózgu. Błąd nie przekracza pół milimetra. Pacjentowi daje się tylko lekki zastrzyk znieczulający w skórę głowy.

A oto inne eksperymenty: drogą wprowadzenia elektrod do mózgu, małpy przemieniały się w zdalnie sterowane marionetki, myszy głodowały, lub objadały się, w zależności od nakazów, przekazywanych przez radio, koty w panicznym strachu uciekały przed myszami, a byki bądź to wściekle miotały się po arenie, bądź też bezwolnie dreptały w miejscu, posłuszne zdalnym impulsom elektrycznym, odbieranym przez elektrody, wprowadzone do mózgu zwierząt.

## MÓZGI BEZ CIAŁA?

Człowiek umiera, gdy umiera jego mózg. I odwrotnie: człowiek żyje dopóty, dopóki żyje jego mózg, nawet jeśli jego ciało obumarło. W klinikach zdarzają się „żywe trupy” — ludzie, których funkcja mózgu ustala na wieki, ale ich ciało utrzymują lekarze przy życiu, stosując sztuczne oddychanie i sztuczne odżywianie. Być może, już jutro, pojawią się „żywe głowy” — mózgi bez ciała.

Ośrodkiem świadomości ludzkiej jest tkanka mózgu i do sprawowania swoich funkcji mózg nie potrzebuje ani serca, ani jakichkolwiek innych organów. Stwierdzono to doświadczalnie. Gdy ustaje funkcja serca, lekarze mogą poddać czaszkę natychmiastowemu ochłodzeniu, chroniąc w ten sposób mózg od śmierci. Następnie mogą go wyodrębnić i podłączyć do „płuco-serca”. Jeśli w ślad za tym, obnażonemu mózgowi przywrócić normalną temperaturę, to jest wielce prawdopodobne, iż odzyska on nie tylko świadomość, lecz również nawiąże kontakt z otoczeniem. Swego rodzaju „alfabet Morse'a”, służący do nawiązania kontaktu z mózgiem, wymyślił amerykański fizyk Edmund Duvon. Podstawą alfabetu są bio-prądy mózgu, tak zwany alfa-rytm.

Obiecujące wyniki w zakresie transplantacji wewnętrznych organów ciała ludzkiego stawiają przed uczonymi nowe problemy. Rozwiązanie ich, być może, już w niedługim czasie, otworzy szerokie perspektywy w dziedzinie kierowania funkcjami mózgu i systemem nerwowym człowieka. Osiągnięte sukcesy, wzbudzają jednak i obawy niektórych uczonych, czy nie będą one wykorzystywane do celów, nie mających nic wspólnego z nauką i nie służących postępowi ludzkości.

Tłum. W. St.

## Za sercem — mózg

w praktyce jest stworzenie „preparatu pamięci”.

### CHEMICZNA PAMIĘĆ

Badania w tej dziedzinie prowadzi się bardzo intensywnie i w warunkach zachowania ścisłej tajemnicy. Obecnie niezwykle rzadko publikuje się jakiegokolwiek wyniki tych badań

Amerykański profesor Cameron wybrał najprostszą drogę: leczy swych pacjentów, cierpiących na zanik pamięci, stosując preparaty kwasu rybonukleynowego (RNK), otrzymywane z drożdży. Cameron przypuszcza, iż nadmiar „cegiełek”, z których składa się pamięć, być może, od nowa zwiększy funkcję mózgu w zakresie postrzegania i zapamiętywania. Wyniki kuracji prof. Camerona przeszły wszelkie oczekiwania: następowała gwałtowna poprawa pamięci. Pewna 80-letnia kobieta, która nie pamiętała własnego nazwiska i po dwadzieścia razy z rzędu zadawała wciąż to samo pytanie, odzyskała zdolność normalnego prowa-

die człowiekiem, który może bezpośrednio oddziaływać na swój mózg. Jeśli w czasie nocnej pracy poczucie on zmęczenie i senność, wystarczy, że naciśnie niewielki guziczek, wmontowany do paska: maleńki aparatki tranzystorowy natychmiast przesyła do mózgu impuls elektryczny i senność ustępuje. W Oslo, prof. Carl Sem-Jacobson zaopatrywał pewną pacjentkę w aparatki, przy pomocy którego może przerywać dręczące ją koszmarne sny. Japoński uczone Sano „prze-stroili” pewnego młodego człowieka, skłonnego do awantur. Metoda leczenia polegała na przyżęgananiu dróg nerwowych w określonej komorze mózgu.

Już od dawna z laboratoriów badających funkcje mózgu, przenikają informacje o nadejściu wieku „czarnej magii”, tym razem naukowej.

### ODCZUCIA ZDALNIE STEROWANE

W praktyce chirurgii mózgu, elektrody wprowadzane do mózgu maksymalnie na godzinę. Prof. Chitt poszedł dalej: wprowadził 125 elektrod do mózgu pacjenta, jedną po drugiej, z zamiarem pozostawienia ich tam na przeciąg miesięcy, a może nawet lat. Końcówki elektrod umocował na czaszkę, w ten sposób, żeby w dowolnej chwili móc je przyłączyć do odpowiednich aparatów. Przez elektrody przepuszczał prąd, kontrolując, według określonego systemu, działanie każdej z nich osobno, a następnie całych ich grup. Już po pierwszych eksperymentach stało się jasne, że w ten sposób może dowolnie kierować nastrojami człowieka. Według własnego uznania „włączał” strach, albo radość, wywoływał szaleńczą agresywność pacjenta, lub stany skrajnej tklivosti.

Doświadczenia potwierdziły przypuszczenia uczono: zakłócenia w psychice jego pacjentów są związane z wadliwym funkcjonowaniem określonych części mózgu. Ważne okazało się również i to, że prof. Chitt udowodnił, iż do mózgu ludzkiego można wprowadzać elektrody na czas nieograniczonej, nie powodując komplikacji.



## Spektakle tygodnia

		Spektakle widzów proc.	
TEATR WIELKI	„Zemsta nietoperza”	1	1200 100
	„Kniaź Igor”	1	1260 100
	„Carmen”	1	1134 90
	„Cyrulik sewilski”	1	1197 95
	„Koncert Moniuszkowski”		1008 80
NOWY	„Dziś do Ciebie przyjąć nie mogę”	1	4900 100
	„Zeglarz”	2	1400 100
MAŁA SALA	„Bliski nieznamy”	4	650 75
	„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	200 100
im. JARACZA	„Anabaptyści”	2	904 71
	„Każdy kocha Opalę”	2	817 65
	„Wesele”	1	812 99
	„Niemcy”	2	741 55
7,15	„Demoniczny nakłobret”	2	708 55
	„Znamy Cię tylko z widzenia”	1	405 77
POWSZECHNY	„Kawior i kaszanka”	2	1000 80
	„Płaszcz”	1	400 70
	„Czarna komedia”	2	1320 100

## Moniuszko ciągle żywy

Moniuszko był taki jak jego muzyka. Patriotyczny, szlachetny, skromny. Piękny jest jego życiorys, piękna jest jego muzyka. Bezinteresowny, całkowicie oddany twórczości, wrażliwy na niesprawiedliwości społeczne, głęboko zaangażowany w wydarzenia narodowe, tym sprawom poświęcił swój talent, tym sprawom służył swoją sztuką. Nie pamiętał tylko o o sprawach materialnych, o karierze. Dlatego zapewne przez całe niemal życie udziałem jego były trudności finansowe, nieprzychylna opinia pewnych sfer, kłopoty z cenurą „Halki”, w której doszukiwano się zbyt ostrych akcentów społecznych wiele lat czekać musiała na warszawską premierę (w Wilnie wystawiona estradowo w 1847 roku, na scenie w 1854 roku, w Warszawie — dopiero w 1858 roku). „Straszny Dwór”, którego premiera w 1865 roku stała się manifestacją patriotyczną, został natychmiast zdjęty przez cenzurę.

Moniuszko, kompozytor kilkuset pieśni, z których wiele śpiewanych jest do dziś, znany jest nam głównie jako autor oper. Ale czy były to pieśni, ballady, czy opery — temu szukał przeważnie w twórczości autorów polskich: Mickiewicza, Syromkomy, Odyńca, Wasilewskiego, Czeczota, Fredry, Kraśzewskiego. Jego opery służyły miały podtrzymaniu ducha narodowego, tradycji patriotycznych i obyczajowych. Polskością przepojona jest jego muzyka, wiele w niej motywów i melodii ludowych.

Do historii polskiej kultury przeszedł jako twórca opery narodowej, łączący talent muzyczny z dużym wyczuciem sceny i jej potrzeb. Dziś, po przeszło stu latach od pierwszej premiery moniuszkowskiej, gdy tak bardzo zmieniły się gusty bywałych operowych, gdy tak wiele zmieniło się w praktyce i kierunkach muzycznych, dzieła Moniuszki wciąż cieszą się jednakową popularnością, niesłabnącym

powodzeniem. Przeciwny meloman potrafi zanućć większość arii z „Halki” i „Straszego Dworu”, zna wiele pieśni, nie zdając sobie nic z sprawy, że są to utwory Moniuszki. Czy sprawia to ich melodyjność, prostota, polskość, czy wreszcie nieprzemijające wartości artystyczne. Zapewne wszystko po trochu. Patrzymy dziś na jego opery jak na stare piękne malowidła wyjęte z kart historii naszej kultury narodowej z uczuciem pewnego rozczarowania, słucha-



my muzyki ciągle świeżej, bezpretensjonalnej, prostej i uroczej.

Nie ma chyba w Polsce sceny operowej, która mogłaby istnieć bez Moniuszki. Opera Łódzka ma w tym względzie szczególne tradycje. Kiedy w 1954 roku zrodził się projekt utworzenia w Łodzi sceny operowej, jednym z poważniejszych argumentów był fakt, że studenci Wyższej Szkoły Muzycznej mieli przygotowany cały „Straszny Dwór”, że byli soliści i chór, którzy mogli tę operę wykonać. I właśnie „Straszny Dwór” zainaugurował istnienie Opery Łódzkiej. Piękne to było przedstawienie, choć bez baletu, choć bez własnej sceny i bez własnej orkiestry. Do dziś pamiętają je łodzianie.

Potem w dawnej Operze była jeszcze „Halka” i „Verbum nobile”.

Na otwarcie Teatru Wielkiego, wśród czterech premier znalazły się dwie opery Moniuszki: „Halka” i „Straszny Dwór”. Tym razem działalność sceny zainaugurowała „Halka”. Zresztą, czy mogło być inaczej. Przecież i warszawski Teatr Wielki na inaugurację dał operę Moniuszki — „Straszny Dwór”. Po roku działalności artystycznej, kiedy Teatr Wielki w Łodzi miał w repertuarze już dziewięć pozycji, „Straszny Dwór” wysunął się na czoło pod względem frekwencji i liczby przedstawień.

Nie więc dziwnego, że 150 rocznicę urodzin kompozytora właśnie Łódź uczciła szczególnie uroczystie. 5 maja w Teatrze Wielkim odbył się koncert — przegląd utworów operowych Stanisława Moniuszki. Był to czyn społeczny pracowników Teatru Wielkiego — wzięli w nim udział wszyscy niemal soliści, balet, chór, orkiestra, trudno więc wymienić tu nazwiska, byłoby ich zbyt wiele. Widowisko otrzymało bardzo staranną oprawę i przygotowanie, najlepszych wykonawców. Na całość złożyły się fragmenty „Halki” wileńskiej i „Halki” warszawskiej, „Flisa”, „Widm”, „Hrabiny”, „Verbum Nobile” i „Straszego Dworu”. Dziś już nielato jest śpiewać, Moniuszko, bo jest bardzo znany. Mimo to koncert Łódźki dał słuchaczom i widzom prawdziwą satysfakcję. Może dlatego, że nasi śpiewacy mają tę muzykę we krwi, może dlatego, że koncert był bardzo starannie przygotowany, a może dlatego, że mamy świetnych śpiewaków, piękne głosy i dobre aktorstwo. W każdym razie było to godne uczczenie rocznicy wielkiego kompozytora.

\*) „Od „Halki” do „Straszego Dworu”. Sceniczny montaż oper Stanisława Moniuszki. Opracowanie: Stanisław Dyźbar i Piotr Stanic. Opracowanie muzyczne: Mieczysław Wojciechowski. Reżyseria: Antoni Majak. Scenografia: Halina Korytowska. Choreografia: Witold Borkowski. Dyrygował: Józef Klimanek i M. Wojciechowski. Narracja: Zbigniew Niewczas i Ryszard Sobolewski.

## Fotografia i mit

„Grający pomnik” Macieja Patkowskiego, sztuka nagrodzona w ubiegłym roku w konkursie na scenariusz telewizyjny, nadana została na antenę dopiero po roku. A no, cóż? Różne są drogi utworu dramatycznego od napisania do realizacji, różne czynniki wpływają na skrócenie lub wydłużenie tych dróg.

W wypadku „Grającego pomnika” przyczyna opóźnienia tkwiła, o ile dobrze wiem, w tym, że autor chciał najpierw zobaczyć swój utwór na scenie. Nie widziałem wersji scenicznej sztuki, trudno mi więc powiedzieć, czy „Grający pomnik” lepiej nadaje się do teatru czy do telewizji. Spektakl TV nadany w dniu 5 maja z Warszawy uważam za interesujący zarówno od strony realizacji, jak i w zakresie sprawdzenia się na małym ekranie tekstu sztuki.

Tekst Patkowskiego jest współczesny w sensie poruszanej tematyki, nie jest natomiast specjalnie nowatorski jeśli chodzi o formę artystyczną, o zastosowane środki wyrazu. Uważny badacz może dopatrzeć się dość przejrzystych wpływów Szaniawskiego i Kruczkowskiego. Nie formułuję tego, oczywiście, jako zarzut. Każdy utwór literacki jest ogniwem w ciągu kulturowym i zawsze można wyznaczyć jego rodowód.

Zastanowiła mnie natomiast inna sprawa. Akcję „Grającego pomnika” umieścił autor w jednym wnętrzu: w izbie stowiów mieszkanie i pracownię młodego rzeźbiarza podhalańskiego. W spektaklu telewizyjnym pozostano w tych wyznaczonych przez dramaturga ramach. Nie uciekano się do pleneru górskiego, nie zastosowano dokrętek filmowych.

A jednak spektakl „Grającego pomnika” nie był utrzymany w konwencji teatralnej, był bliższy autentyki, bliższy życia niż teatru. Pleneru górskiego nie pokazywano nam, a przecież czuło go się za zamkniętymi drzwiami wyjściowymi izby, pukało do tych drzwi w osobie listonosza Grzędy, wdierał się do środka w postaci wielkich fotografów, które rzeźbiarz rozwiesił na ścianach jako tło dla modelu pomnika.

W pewnym momencie, gdy listonosz opowiedział Stachowi o dokonanych przed laty mordzie politycznym w starej baćcówce na piargach, rzeźbiarz rzuca się w kierunku fotografa, by dokładnie przyrzeć się miejscu, w którym dokonano zbrodni. Przypomniało mi się wtedy „Powiększenie” Antonioniego, a ściślej ten fragment filmu, gdy fotograf idzie śladem zabójstwa poprzez wykonywanie coraz większych powiększeń.

Analogia tych scen jest dość daleka, ale i w filmie i w spektaklu telewizyjnym był podobny motyw śledzenia rzeczywistości poprzez jej fotograficzny zapis. Jest to sposób (jak mówi o tym film Antonioniego) zwodny, ale jak typowy dla współczesności! Każdy z nas ma jakąś skryt-

kę, czy szufladę wypełnioną starymi fotografiami. Przeglądając te nie raz bardzo rzepkie technicznie fotki przywołujemy wspomnienia, tworzymy niepostrzeżenie mity.

Reakcja Stacha na zarejestrowane na papierze fotograficznym usypisko skalne ma cechy mitotwórcze. Obiektywne relacje fragmentu rzeczywistości nabiera nowej wartości, zostaje ustrukturywana podtekstem mitu o tragicznej śmierci pięciu ludzi — ofiar reakcyjnego podziemia.

Dla tworzenia mitu fotografia jest chyba skuteczniejszą podniętą niż sama rzeczywistość. Odkalkowany na papierze wy-cinek rzeczywistości łatwiej podatny jest na deformacje wyobraźni. Usypisko głązów przybiera więc kształt wyciągniętej dii, personifikuje się, staje się znakiem legendarnej opowieści. Opowieści, która przypominać ma potomnym o zbrodni popełnionej w starej baćcówce i o ofiarach walki o władzę ludową.

Tak właśnie zrodził się projekt pomnika grającego (moje wyczcucie językowe nakazuje mi taki właśnie szkielet słów, a nie — „grający pomnik”). Rzeźbiarz rezygnuje z własnej, kreatorskiej wizji plastycznej na rzecz lekko przekształconego fragmentu rzeczywistości. Ten fragment wyłączony zostaje z woli artysty z obiektywnego trwania w plenerze górskim i zamieniony w widomy znak mitu.

Z wyłożonych wyżej względów uważam, że reżyser spektaklu telewizyjnego „Grający pomnik” — Jan Bratkowski — słusznie postąpił, nie wprowadzając do widowiska zdjęć plenerowych. O wiele ciekawsze było właśnie rozegranie genuzy przyszłego pomnika na fotografiach, a więc operowanie rzeczywistością już w pewnym sensie zmitologizowaną, fragmentami wyizolowanymi z całości krajoobrazu.

Na zakończenie chciałbym wymienić jednego tylko aktora: wykonawcę roli Stacha Tynieckiego — A. Seweryna. Młody aktor był tak autentyczny, nie skąpany manierą teatralną, niósł w podtekście tyle wiedzy o specyficznej górskiej społeczności, że walnie przyczynił się do osadzenia widowiska w konwencji niemal dokumentarnej, a w każdym bądź razie bardziej filmowej niż teatralnej.

Władysław Onufry

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Wioski poeta, pisarz, filmowiec Pier Paolo Pasolini zmiennie reprezentuje czysty nurt filmu autorskiego. Jest twórcą kontrowersyjnym, dyskutownym, artystą, który nie pozwala na obojętność. Nieznany u nas bliżej, stał się dziś polską publiczność głośnym swym filmem: „KROL EDYP”. Atak frontalny, wciągający w sam środek pasji artystycznego tworzenia napiętnowanego indywidualizmem, który nie widzi żadnych ograniczeń. Ten rozwichrzony indywidualizm prowadzi do tego, że Pasoliniego akceptować w całości jest trudno, jeszcze trudniej jednak przechodzić koło jego twórczości obojętnie.

„Krol Edyp” zaskoczy wszystkich, którzy poszukiwać będą w tym filmie wyniesionych z tradycji kulturowej obrazów hellenistycznej mitologii. Mając jeszcze w pamięci „Elektrę” Cacoya



Na ogół bardzo rzadko mamy okazję oglądać pełnometrażowe filmy dokumentalne. Przyzwyczajeni do krótkich form dokumentu boimy się trochę jego pełnego spektaklu. Niedługo mieliśmy już jednak okazję przekonać się, że lęk ten był niezasadniony.

Pełnometrażowy seans dokumentalny proponuje nam obecnie reżyser Jerzy Bossak wraz z operatorem Władysławem Forbertem, wypełnia go film „273 DNI PONIŻEJ ZERA” — opowieść o Syberii współczesnej. Nie waham się tu użyć słowa opowieść, gdyż film ten jest istotnie epickim

nisa, wobec „Krola Edypa” stajemy w pierwszej chwili bezradni. Pasolini burzy świadomość całą otoczkę kulturowych wyobrażeń narosłych wobec spuścizny wielkich Greków, burzy także strukturę sofoklesowego dramatu, a więc dramatu antycznego w ogóle. Pozostaje jednak wierny sednu rzeczy — moralno-filozoficznemu sensowi mitu o tragicznym krolu Edypie. Wierność to może ułatwiona dzięki wieloznaczności, a więc możliwości interpretacji dzieła Sofoklesa.

Tu jednak odkrywamy pewien paradoks tkwiący w filmie Pasoliniego. Tam, gdzie artysta próbuje się z samym dziełem starożytnego tragika, tam gdzie stara się dla niego znaleźć kształt nowy, nawet obrazoburczy, tam odnosi zwycięstwo. Wówczas jednak gdy szuka dla niego ram współczesności, na której użytek do Edy-

powego mitu powrócił, ponosi porażkę. Popada w banal, a do banalu nawet ubranego w symboliczną szatę, szyfru raczej nie poszukujemy.

Gdy odrzucimy te niezbyt udane nawiasy współczesności, w które wpisane są dzieje tragicznego potomka rodu Labdakidów, odnajdujemy dzieło traktujące o jego losie w sposób przejmujący i odkrywczy. A Los-Przeznaczenie jest jak wiadomo siłą kierującą życiem mitologicznych bohaterów, w postawie wobec niego ujawniają się ludzie z całym odwiecznym bezmiarom namiętności, uczuć, zasad i poszukiwań prawdy i szczęścia. Człowiek swój los odrzuca lub akceptuje, chce od niego uciec lub idzie naprzeciw w walce albo pokorze.

Edyp Pasoliniego najpierw ucieka, potem świadomie dociera do prawdy,

która będzie wyrokiem bezlitosnym, przyjętym z rozpaczą najtragiczniejszą, ale i z godnością najwyższą. W owym eksponowaniu aktu poznania prawdy jako wartości tragicznej, lecz ratującej godność ludzką odnajdujemy główny sens pasolinowskiej interpretacji mitu o Edypie. Jest to oczywiście jedna z możliwych wersji interpretacyjnych tego filmu, który uniwersalizm greckiego mitu podbudowuje nie tyle ramami współczesności, co syntetycznym obrazem starożytnej cywilizacji.

Trudne do oznaczenia elementy różnych archaicznych kultur, warstw obyczajowych, ceremonii religijnych, strojów, wtopione w pejzaż Północnej Afryki tworzą klimat cywilizacji jeszcze prymitywnej, na której tle bogactwo ludzkich przeżyć przemawia siłą ogromną i uogólniającą.

O ich bytności mówi jednak stale zmieniający się pejzaż tej ziemi, mówią także sceny dokumentujące proces odradzania się kultur narodowych.

Filmowi Bossaka towarzyszy jeszcze jedna refleksja: jest nią pochwała nauki, a zwłaszcza fizyki, chemii, matematyki, biologii i ich perspektyw w służbie człowiekowi, w procesie przeobrażenia jego bytu. Omawiany film dostarcza również wrażeń natury estetycznej, piękno pejzażu autentycznego i pejzażu, który jest wytworem rąk ludzkich urzeka i fascynuje.

EWA NURCZYŃSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Daniel Louis Armstrong

## ARMSTRONG

„Mając pięć lat” pisze w swych pamiętnikach Armstrong „nie grywałem jeszcze na trąbce, ale było w tym instrumentem coś takiego co mnie pociągało. Kiedy byłem w kościele lub gdy podczas defilady siedziałem z orkiestrą dęta, przysłuchiwałem się uważnie rozmaitym instrumentom, starając się wyłowić które i jak grają”.

Daniel Louis Armstrong („Satchmo”, „Pops”) urodził się w Nowym Orleanie w roku 1900. Dziś jest jednym z najwybitniejszych muzyków jazzowych. Trębacz, śpiewak, kompozytor, od dziecka zdradzał niepospolity talent muzyczny. Jeszcze jako chłopiec zorganizował kwartet muzyczno-wokalny, dał się wraz ze swymi rówieśnikami, koncertować w zakurzonych ulicach Nowego Orleanu i w miejscowych lokalach rozrywkowych.

Na kornecie nauczył się grać w domu poprawczym, gdzie poznał nuty i występował w zakładowej orkiestrze. Później był nił rozmaite zawody. Był rozwozicielem węgla, roznościelem mleka, sprzedawcą gazet, a wieczorami grał i śpiewał w lokalach rozrywkowych.

W roku 1917 Armstrong należy do zespołu słynnego puzonisty Kida Ory. W 1922 roku Joe King Oliver, przyjaciel z lat dziecińczych, wzywa telegra-

ficznie Armstronga do Chicago, by włączyć go do swego zespołu. W roku 1924 Armstrong, który staje się coraz bardziej znanym trębaczem jazzowym i nagrał już kilka płyt, wyjeżdża do Nowego Jorku, pracując tam z orkiestrą pianisty Fletcher Hendersona. Osiąga wielkie sukcesy, wraca do Chicago, gdzie w roku 1925 grywa w lokalu Dreamland i teatrze Vendome. Tu daje się poznać jako uzdolniony aktor w dewilowy.

W roku 1927 Armstrong tworzy pierwszy własny zespół. Występy tego zespołu przyciągają liczne rzesze entuzjastów jazzu. Stał się Armstronga przekracza granice Ameryki i mu niepospolity talent muzyczny. Jeszcze jako chłopiec zorganizował kwartet muzyczno-wokalny, dał się wraz ze swymi rówieśnikami, koncertować w zakurzonych ulicach Nowego Orleanu i w miejscowych lokalach rozrywkowych. Na kornecie nauczył się grać w domu poprawczym, gdzie poznał nuty i występował w zakładowej orkiestrze. Później był nił rozmaite zawody. Był rozwozicielem węgla, roznościelem mleka, sprzedawcą gazet, a wieczorami grał i śpiewał w lokalach rozrywkowych.

W roku 1944 Armstrong tworzy własny zespół „All Stars” (złożony z najlepszych muzyków jazzowych, zwycięzców ankiety pisma „Esquire”), a choć potem zmienił się skład uczestników, nazwa zespołu „Same gwiazdy” pozostaje nadal. Daniel

Louis Armstrong wszedł na trwałe do historii jazzu, a wiele z jego utworów to już dzieła klasyczne. Zachrypnięty głos nie tylko nie przeszkodził Armstrongowi w karierze wokalisty jazzowego, ale nawet zaczęto go naśladować. Zresztą tego rodzaju timbre głosu spodykany jest często u murzyńskich wokalistów bluesa.

Ostatni, jaki do nas dotarł, numer radzieckiego miesięcznika „Krugozor” zawiera w części dźwiękowej m.in. nagranie dwóch utworów Armstronga. Płyta przekazuje nam też krótki wywiad z wielkim muzykiem, w którym mówi on o swym poparciu dla murzyńskiego ruchu na rzecz pełnego równouprawnienia czarnych w Stanach Zjednoczonych.

## WIELKA NAGRODA LITERACKA PARYŻA

Laureatem Wielkiej Nagrody Literackiej Paryża został w tym roku poeta, powieściopisarz i eseista Jean Rousset. Grand Prix w wysokości 10.000 franków przyznano mu za całokształt wieloletniej pracy pisarskiej.

Jean Rousset urodził się w roku 1913 w Poitiers. Mając lat 12 (nie zdradzając się z tym, że jest tak młody) współpracuje już z jednym z pism w rodzinnym mieście. Osierocoony w czasie wojny przez 10 lat zmuszony jest pracować na swe utrzymanie i jest urzędnikiem administracyjnym. Później poświęca się już wyłącznie pracy literackiej i dziennikarskiej. W roku 1943 wydaje pierwszy zbiorek poetycki. Oprócz kilku zbiorów poezji Jean Rousset ma w swym dotychczasowym dorobku historię poezji francuskiej, monografie m.in. o Szopenie, eseje o Blaise Cendrarsie i Wiktorze Hugo. Próbowal też swych sił

w powieści, ale jego głównym zainteresowaniem literackim jest poezja.

„Poezja zajmuje pierwsze miejsce w moim życiu” — mówi. A na pytanie reportera czy poezja straciła swoje znaczenie w świecie współczesnym pisarz odpowiada: „Nie sądzę. Już Vigny twierdził, że we Francji jest zaledwie 5 tysięcy czytelników poezji, a Baudelaire uważał, że znacznie mniej. Sytuacja dzisiejsza poezji związana jest z faktem, że zbyt wielu poetów pozostaje w wieży z kości sionowej i nie liczy się z odbiorcami. Kiedy czytam niektóre dzieła nermetyczne, powiadam do siebie, że ci autorzy zdają się nie mieć w swoim życiu ani przyjaciół, ani miłości, ani rodziny. Nie wiedzą co to jest drzewo albo pies. Zresztą ich ślepotą nie robi na mnie żadnego wrażenia. Sam będąc poetą znam tajemnice ich warsztatu. Jeśli chodzi o mnie próbuję doskonalić swój język i być zrozumiałym. Nie mówię, że przez wszystkich, ale przy najmniej przez pewną liczbę czytelników. Poezja to nie kapłanka”.

Na zarzut reportera, że jednak tomy poezji nie są zbyt masowo kupowane poeta odpowiada: „Tego nie należy traktować jako kryterium. Szerza publiczność mniej interesuje się książkami, ale interesuje się widowiskami poetyckimi... Lubi dobrą piosenkę. Żałuję, że radio i telewizja nie odgrywają większej roli w popularyzacji dzieł poetyckich”.



Koba Guruli „Porwanie „Medei” (fragment)

## MIEDZIANE SŁOŃCE

Koba Guruli ukończył wydział rzeźby w Gruzińskiej Akademii Sztuk Pięknych. Początkowo rzeźbił w kamieniu, później jednak jego ulubionym tworzywem stał się metal, a zwłaszcza miedź. W tym materiale Guruli tworzy niezwykle interesujące płaskorzeźby przywodzące na myśl starożytności, asyryjskie reliefy. Dla-

czego tworzy w miedzi najchętniej? Być może dla tego, że metal ten przypomina blask słońca, a dla Guruli słońce jest uświetlonym motywem jego dzieł. Guruli kończy 40-ty rok życia. Jego piękne płaskorzeźby znane są zarówno w rodzinnej Gruzji jak i daleko poza nią. Prace Guruli tworzy niezwykle interesujące płaskorzeźby na wielu wystawach i przywodzące na myśl starożytności, asyryjskie reliefy. Dla-

## W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ★ TRYPTYK O MIŁOŚCI — Adama Lewaszkiewicza
- ★ HIPNOZA — Zofii Tarnowskiej
- ★ DWUGŁOS O „ANABAPTYSTACH” — Duerrenmatta
- ★ O POLSKIM PARLAMENTARYZMIE — Feliksa Grabskiego
- ★ NOWELA KRYMINALNA

# Bez strachu

DRUGIE PODWÓRKO

Mieszkam w wysokiej oficynie i często stojąc na balkonie obserwuję sąsiednie kamienice, poczynając od dachy, dalekie ogrody, wysokie kominy, wieże kościołów. — Wszystko to jest moim obszarem kamiennym, drzewnym i dymnym — obszarem powietrznym i chmurnym. Otóż często przez sąsiednią niską oficynę oglądam drugie podwórko — to podwórko nie należy do obszaru moich spraw — widzę je, ale nie rozumiem spraw tego podwórka. Co dziwnie rano — bardzo wczesnie na tym nie moim podwórku zbiera się gromada ludzi w celu, którego nie znam. Są tam dwie stare babcie, w sady robotnik, male dzieć, czynki i jeszcze ktoś kogo nie pamiętam, chociaż widuję go codziennie. Widzę i oceniam, że są to ludzie prości i biedni, którzy jednak na to poranne wyjście odziewają się w to co mają najlepszego — czarne ubrania, czarne suknie, polyskliwe torebki. Stoją tak nieruchomi i uroczyście tak jakby zgromadzili się w dobrze sobie znanym celu. Gdybym widział ich raz jeden w tym osobliwym odzieniu i skupieniu myślałbym, że przybyli na pogrzeb. Oni jednak stoją tak codziennie i trudno sądzić, że codziennie grzebią kogós bliższego. Trudno też mniemać, że wyruszają razem do pracy — wykłuczają to długie postój, uroczysty przydziałek — ogromna różnica wieku. Natychmiast po przebudzeniu biegnę na balkon i widzę — tak oni stoją — odświętni, nieruchomi, uroczyści. Gdzie oni się wybierają, na kogo oczekują? Kiedyś przysnęli mi się w nocny mój, wyrazistym snem. Snem iden tycznym z tym codziennym uroczystym postojem. Rano wybiegłem na balkon i zobaczyłem ich w jawie tożsamej ze snem. Niekiedy wzbiera we mnie gniew — oni winni mi wyjaśnienie — ja przyzwyczaiłem się do analizowania i rozumienia mojego otoczenia.

A oni stoją uroczyście i śnią mi się uroczyście stojący, a wszystko bez słowa wyjaśnienia. Tak nie można! Ich postoje są wyzwaniem dla „mojego” wrogu, dla mojej władzy sądzienia i wnioskowania. Niekiedy zamierzam wejść na ich podwórko i chwycić byka za rog. Po co państwo tu stoją: tacy odrębnym wiekiem i pięcią, tak połączeni przedpogrzebowym nastojem. Może pragniecie, aby ktoś umarł, może możecie drogę czyjaś śmierci? Nigdy jednak nie zadam tego pytania — to jest ich podwórko, drugie podwórko, podwórko poza przestrzenią, którą wiadom. Pewnej nocy, kiedy znowu spałem mi się przysnęli — myślałem o nich bezsennie i ciekawie. Pomyślałem, że jest między nimi ktoś kogo nie pamiętam, chociaż widuję go codziennie, ale tylko w stanie jawy — nigdy nie raczył mi się przysnąć. Otóż może ten właśnie nie pamiętany człowiek zna cel tych zebrań — on jeden ich zwołuje, on jeden zna tajemnicę, a oni wierzą mu ślepo i słuchają od wielu dni. Jeżeli ten człowiek czyta te słowa niech przyjdzie do mnie, niech powie dlaczego zbiera codziennie przydziałanych uroczyście ludzi na swoim podwórku. Ja chcę wiedzieć wszystko, a znam tylko sprawy swojego podwórka.

BERNARD SZTAJNERT

# Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

TE DNI MAJOWE

## ZE SŁOWEM SIĘ PORĄŁ — BOMBARDOWANIE REKOPISÓW — PROWIZORKA NA 400 LAT — DOKUMENTY PISARSKIEGO TRUDU

„Był bezpośredni i prosty” — powiedziała Monika Zeromska o swym wielkim ojcu. I jakoś swojsko i kameralnie zrobiło się na tej zatłoczonej, dusznej sali łódzkiego Pałacu Młodzieży. A przedtem jeszcze różni panowie odczytywali z kartki dete slogany „na okoliczność” — było sztywno i sztucznie nie wierzyłem, że te kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców wytrzyma napuszoną „galówkę”.

Wystarczyło jednak, aby na mównicę weszła Monika Zeromska, wystarczyło, że padły słowa — normalne, ludzkie, „bezpóśrednio” — z serca i z czułej pamięci — aby sala zamarla w zastuchaniu i trwała tak ponad godzinę. I rzecz nawet nie w tym, że to mówiła córka Stefana Zeromskiego, rzecz w tym, że mówił ktoś pięknym językiem, prosto i serdecznie, szcze-

rze i bezpośrednio. Mówiono nam o Zeromskim wydobytym z kokonu słów — padły słowa o skromnym człowieku, który napisał wiele pięknych kart polskiej literatury.

Nie lubił kiedy zwracano się do niego per „Mistrzu” — powiedziała Monika Zeromska i nie mówiła o „Mistrzu” lecz o dobrym, pogodnym człowieku, pracowitym pisarzu, który porał się ze słowem aby nadać mu kształt najpiękniejszy.

Jest w „Urodzie życia” taki moment, kiedy Piotr Rozłucki odlatuje na skonstruowanym przez siebie samolocie. „Znalazłem rękopis tej książki — mówi Monika Zeromska — i jest tam zdanie: „wsiadł i poleciał”. I to ostatnie słowo, które Ojciec przemierzał, dla którego szukał innych, lepszych, dokładniej malujących obraz — zniknął, odleciał, ule-

ciał, wznosił się, poszybował...” Był pisarzem, o którym mówi się, że jest mistrzem polskiego języka. To prawda, ale też przeorywał w swej pracy pisarskiej te zagony polszczyzny, poznawał je i poznał najdokładniej.

W pośmiertnych papierach Stefana Zeromskiego znaleziono 17 notesów dokumentacji do „Wiatru od morza”, znaleziono ponad dwadzieścia notesów dokumentacji do „Popiołów”. Zeromskiego cechowała ogromna wnikliwość faktom historycznym, szacunek dla szczegółu. Ktoś kto robił ilustracje do „Popiołów” powiedział, że jeśli w tekście pisze: „mundur zapinany był na siedem guzików, to nie ma potrzeby szperać po dokumentach, bo wiadomo, że na pewno ów opis jest fotograficznie wierny e-poce.

Jest w pośmiertnych papierach Pisarza notes dokumentacji do „Wiatru od morza” poświęcony muzyce. Tak, tak — przecież Smętek gra na wioli. Węc Zeromski zebrał wszelkie informacje o budowie wioli, o odmianach tego instrumentu, o tym kiedy, który z rodzajów wioli znalazł się na wschodzie Europy...

Ten zbiór rękopisów i notatek jest dokumentem pisarskiego trudu, jest przykładem jaką wagę przywiązywał Zeromski do

swjej pracy, z jakim uporem badacza drążył każdy temat, aby nadać mu ostateczny, doskonały kształt.

A niewiele brakowało, by ostatnia wojna pozbawiła nas tych cennych dla historyków literatury rękopisów. U progu wojny zamurowano je w piwnicy domu Pisarza w Konstancinie, gdzie przeżyła do wiosny 1940 roku. Kiedy Niemcy zajęli Konstancin, lokalizując tam swoją komendanturę — Monika Zeromska wywołała je do Warszawy — na Stare Miasto, gdzie je powtórnie zamurowano w piwnicy dawnej drukarni Mortkowicza. Potem wybuchło powstanie i Starówka stała się centrum piekła. Jedenaście bomb spadło na dom pod numerem jedenastym i w roku 1945 odgrzebano spod gruzów tylko dwie z czterech skrzyń z rękopisami. Pozostałe odnaleziono dopiero po pięciu latach, gdy zaczęto generalną rekonstrukcję Starówki. Nie stety — podmuch wybuchu odrzucił je aż pod ścianę sąsiedniego domu. Rękopisy były przeżarte zieloną pleśnią, kiedy je Monika Zeromska przyniosła do profesora Lenarta — wybitnego specjalisty konserwacji papieru. Nad niektórymi z nich sędziwy profesor pokłwał tylko głową i rzekł: „Może je pani wiożyć do słoika i powiedzić — to zle-

lone w środku, to „Wierna rzeka”. Większość udało się jednak uratować — choć konserwacja rękopisów trwała dziewięć lat. Profesor Lenart nie jest co prawda z wyników zadowolony — twierdzi, że to prowizorka, że po tych zabiegach rękopisy wytrzymają zaledwie 400 lat... Ale dla profesora, który ma do czynienia z egipskimi papirusami Ramzesów, każdy okres czasu poniżej tysiąclecia jest prowizorką.

Mówiła Monika Zeromska, że namawiała ją do napisania wspomnień o swoim ojcu, ale że powstrzymuje ją lęk przed niedobrym wdzikiem takich wspomnień. „Był dla mnie człowiekiem ubóstwianym ponad wszystko na świecie, ale to był po prostu mój ojciec i pa-trzyłam na niego oczyma dziecka. Jego wielkość jako pisarza poznałam dopiero później, kiedy stałam się dorosła — kiedy Jego już nie było wśród nas”.

Myślę, że takie wspomnienia powinny powstać i wiem, że wrażliwość i mądrość Moniki Zeromskiej uchronią przyszłą książkę przed niedobrym wdzikiem. Wzbożał się natomiast polskie pamiętnikarstwo o cenny zapis zrodzony czułą pamięcią dziecka i mądrą refleksją dojrzałego człowieka.

JERZY WIDOK

# Błęd

Karol Selden śnił. Był to męczący, pełen wizji koszmar. Nagle usłyszał krzyk. Początkowo wydawało mu się, że krzyk jest częścią snu. Obudził się — i zrozumiał, że to jego żona krzycząca przeraźliwie.

Otworzył szeroko oczy i zobaczył, że Helena siedzi obok na łóżku z wyciągniętą ręką, wycelowaną w kierunku szafy.

— Co się stało? — zaniepokoił się Karol.

W tej samej chwili rozległ się huk wystrzału. Krzyk zamilkł, Helena upadła na poduszki.

Nie namyślając się ani chwili, Selden odrzucił kołdrę i skoczył w ciemny kąt pokoju, gdzie majaczyła jakaś postać.

Nieznamy znowu wystrzał, pocisk trafił w lewe ramię Seldena. Ten, rozszczęczony, rzucił się na intruza i wykreślił mu rękę. Pistolet upadł na podłogę.

Walki nie było. Napastnik, człowiek o wątej budowie ciała, pragnął jak najszybciej ułotnić się. Wyrwał się z uścisku Seldena, skoczył przez otwarte okno i pierchnął tą samą drogą, którą dostał się do mieszkania.

Selden podniósł pistolet i podbiegł do okna. Lecz bandyta znikł już za drzewami, okalającymi dom. Noc była jasna, księżycowa, na śniegu znaczyły się wyraźnie ślady pozostawione przez uciekiniera.

— Przeklęty śnieg — mruczał zirytowany Karol. — Tłumaczyłem Helenie, że po goda będzie coraz gorsza. Jakież to głupie i beznasenne przedłużać wakacje w takim letnim baraku do czasu, kiedy zaczynają padać śniegi. Lecz Helena, jak zwykle, uparła się.

Nagle uderzyła go radosna myśl, że oboje nie będą się już nigdy o nic kłócili. Helena nie żyje a on...

Dotknął ręką ramienia i poczuł ciepłą krew przeciekającą przez materiał piż-

my. Ogarnęły go mdłości. — Muszę szukać pomocy — myślał głośno — przywołać lekarza i policję. Zbliżył się do telefonu, stojącego między łózkami i podniósł słuchawkę.

— A potem prawdopodobnie zemdałem — tłumaczył Selden później policjantowi. Przypominam sobie, że wkrótce się ocknąłem. Leżałem na podłodze, w głosie mi szumiło. Podniosłem się i zbliżyłem do łóżka Heleny, lecz ona już nie oddychała. Wziąłem jej rękę, nie czułem pulsu. Zrozumiałem, że nie żyje. Podszedłem do telefonu i połączyłem się z centralą telefoniczną. Telefonistka sama zatroszczyła się, aby zawiadomić o wypadku kogoś należącego do rodziny. Nie pozostawiało mi nic innego jak czekać.

Pierwszy policjant słuchał zeznań Seldena z wyrazem dobrodusznego zainteresowania. Żądał kilka pytań, coś zanotował. Selden, usiłując opisać nieznanego, zaplątał się w szczegółach.

— Przecież pan go widział — w głosie policjanta zjawił się akcent podejrzliwości.

— Tak, lecz tylko przez krótką chwilę. W pokoju było ciemno. Ale macie przecież ślady na śniegu, czy nie można z nich wyczytać wzrostu i budowy ciała człowieka?

— Już ich nie ma — odrzekł policjant. Świeży śnieg zaczął padać o tej godzinie, o której otrzymaliśmy pański telefon. Dlatego też zużyliśmy tyle czasu, aby przybyć do waszej willi. Jeżeli nawet były jakieś ślady, to do tej pory zostały całkowicie zatarte.

— Co za pech! — Pograżony w swych myślach Selden nie uchwycił znaczenia słowa „jeżeli”. Droga prowadzi do nas pod górę, jest bardzo trudna, szczególnie, gdy mokra i lepka.

— Gorzej jeszcze, gdy jest oblodzona — jak tej nocy. — Mówiąc to policjant wyjrzał przez okno. — Dzwonne, że tak długo za trzymywaliście się tutaj. Na ogół letnicy nie przebywają już w tych okolicach po upływie września. Stwierdziłem, że tylko wasza willa jest jeszcze otwarta.

— To prawda. Państwo Davis, nasi sąsiedzi, jako ostatni, wyprowadzili się przed dziesięć dni. Myślę, że złodziej wiedział, iż okolica nasza zupełnie opustoszała. Najpomyślniejszy okres aby rozpocząć plą-

drowanie i rabować cenne rzeczy, które pozostawili właściciele domów.

— Może i tak było — odpowiedział zamyślony policjant. Następnie zwrócił się do lekarza, który w tej chwili wychodził z sypialni. — Czy pan już skończył, doktorze?

— Skończyłem. Niestety, musimy poczekać ze sprawdzeniem ambulansu, dopóki się nie rozwidni.

— Zostawię na straży przy zwłokach sierżanta Murphy. Panie Selden, czy woli pan tu zostać, czy wrócić z nami do miasta?

— Zostanę tutaj — zdecydował Karol. Chyba, że bym wam potrzebny przy szukaniu człowieka, który zabił moją żonę.

— Tym, to już my się zajmujemy. Jeżeli złodziej przebywa jeszcze w lesie, to do jutra zostanie osaczony. Jeżeli umknął już dalej, to sprawa potrwa dłużej. Czy możemy iść, panie doktorze?

— Jestem gotów. Niech pan się nie przejmuj tą raną, panie Selden. — To mówiąc sprawdził z zawodową satysfakcją opatrunki, które zastosował rannemu. — Kula tylko musnęła ciało. Miał pan szczęście. A te raz idziemy, żegnaj pana.

— Szczęście, tak, szczęście! — myślał podniecony Selden. To słowo odbijało się wielokrotnym echem w jego mózgu, gdy tak stał w oknie i obserwował oddalającą się samochodem. — Prawdziwe szczęście! — Pograżony w wspomnieniach zapominając zupełnie o pokoju, w którym młody sierżant siedział przy zwłokach Heleny.

Następnego dnia przyjechał kapitan. Jego pytania szybko się wyczerpały i badanie przeszło na inne tory.

— A więc to już czwarty rok jak państwo tu przyjeżdżacie. Czy zawsze zatrzymywaliście się do końca listopada?

— Nie, na ogół wyjeżdżaliśmy dużo wcześniej. Lecz mojej żonie podoba się... po dobało się przebywanie na świeżym powietrzu. Była nieustraszona w swych spacerach po pagórkach, w ławieniu ryb w strumieniach. W tym roku zdecydowała się pozostać dopóki utrzyma się ładna pogoda.

— Czy nie musiał pan wracać do pracy?

— Moja praca może zawsze poczekać. — Czulo się ton gorczy w głosie Karola. — To jest przedsiębiorstwo rodzinne.

— Pańskiej rodziny?

— Nie, mojej żony. Pytania stawały się coraz

bardziej natarczywe, osobiste. Aż Selden stracił cierpliwość. — Do diabła, do czego zmierzacie? Moja żona została zamordowana, złodziej się ukrywa, a wy tu sobie siedzicie i wypytujecie mnie o moje życie prywatne! Naturalnie, czasem kłóciłem się. Pokażcie mi parę małżeńską, która nie kłóci się nigdy. Lecz te szczegóły nie pomagają w odnalezieniu człowieka, który strzelał.

— Znajdziemy go — zaręczał kapitan — niech pan zachowa cierpliwość. Rozumiem, że dla pana są to rzeczy bardzo przykre, lecz musimy badać sprawę do głębi.

I znow Selden odpowiadał na pytania, których sensu i celowości nie pojmował.

Rozmowę z kapitanem przerwał nadejście brata Heleny. Oba wymienili kondolencje i zaczęli omawiać sprawy związane z pogrzebem. Karol nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie Artura. Teraz atmosfera była jeszcze bardziej napięta ze względu na skomplikowane okoliczności wypadku.

Karol nie zdawał sobie jeszcze sprawy z powagi sytuacji, w jakiej się znalazł. Zaczął się czegoś domyślać dopiero po przeczytaniu wieści czarnej prasy. Jego wersja na temat uzbrojonego bandyty została przedstawiona w zdaniach wyrażających raczej powątpiewanie: „Selden mówi... Według Seldena...”

— O Boże! — myślał Selden głośno w swym opuszczonej mieszkanie. — Wygląda tak, jakbym wymyślił to wszystko, jakby nie istniał żaden zbrodniarz, który...

Lecz panika szybko opadła, uśmierzona pewnością, że złodziej przecież był! Znajdą go na pewno — myślał Karol — wówczas wszystko stanie się jasne. A nawet — gdyby go nie znaleźli, nie powinno zabraknąć dowodów, że ów człowiek przechodził tamtędy. Jest np. pistolet, można ustalić do kogo należy. W ten czy inny sposób istnienie złodzieja zostanie udowodnione.

Mimo ciągłych przesłuchiwań Karol nie tracił nadziei. Aż do chwili kiedy po pogrzebie Heleny, przybyła policja aby go aresztować. Osiupiał ze zdumienia, gdy usłyszał, że się go oskarża o zabójstwo żony.

Pewnego dnia zjawił się w celi adwokat przysłany przez Artura. Przyniósł druzgocącą wiadomość: broń po zostawiona przez intruza



należała do właściciela sąsiedniej willi.

— Do Lena Davisa? — powtórzył Karol, oszołomiony nową niespodzianką. — Ależ to absurd!

— Jednak to prawda. Zamek w drzwiach został wyrwany, mieszkanie splądrowane. Pan Davis twierdzi, że przechowywał pistolet w szufladzie biurka.

— A więc złodziej wszedł tam wcześniej niż do nas. — Karol ożywił się. To jasne, że mamy do czynienia z kimś, kto mieszka w naszej okolicy, chociaż policja go jeszcze nie zidentyfikowała. Dlaczego mnie jeszcze przetrzymują?

— Ponieważ policja jest innego zdania — wyjaśnił adwokat. Davis zeznał, że pan wiedział o pistolecie przechowywanym w jego domu.

— Owszem, wiedziałem o tym. Davis przyjeżdżał la tem tylko na weekend. Jego żona bała się przebywać w willi sama. Davis przywiózł jej pistolet, aby czuła się bezpieczniej. Dobrze, ale co to ma wspólnego z... Nie! Chyba ona nie zechciała twierdzić, że ja wszedłem do domu państwa Davis, ukradłem pistolet i usiłowałem stworzyć pozory, że... Ależ to szaleństwo!

— Musimy zbadać dokładnie wszystkie fakty — uspokajał Seldena adwokat.

— Fakty! Ja przecież państwu przedstawiałem fakty. Policja usiłuje rozwiłnąć zbrodnię a tymczasem bandyta uciekł. Szuka się więc kozła ofiarnego. Po co mają się męczyć ściganiem zbrojczy, skoro prościej jest przypisać zbrodnię mnie.

— Jestem przekonany, że poszukiwania prowadzi się dalej. Lecz prawdopodobnie stwo odnalezienia tego człowieka z dnia na dzień zmniejsza się.

— Czy nie znalaziono odcisków palców?

— Niestety. Prawdopodobnie nie nosił rękawiczki.

— Nie ma odcisków, pistolet skradziony sąsiadowi, śnieg pokrywa ślady... Co jeszcze mają przeciwko mnie?

— Policja ma pańską mapę rynarkę od piżamy. Otwór, przez który przeszedł pocisk, ma brzozi opalone. To wskazuje, że mógł pan sam do siebie strzelić. Albo — że strzał padł z bliskiej odległości.

— Istotnie, wystrzelono z bliska — przerwał Karol. — Wisieliśmy prawie na karku tego nędznika, kiedy kula mnie dosięgła. Wszystko, co policja ma w rękę jest nęstwo i usiłowanie stworzyć pozory, że... Ależ to szaleństwo!

(dokończenie w następnym numerze)



## Lewym okiem

### HISZPAŃSKA KAWALERIA, PRZYLEPIONA DO TORU

Podnosiły się już głosy — i to ze stron nader autorytatywnych — że przy oczywistej konieczności oszczędzenia gospodarowania papierem tłumaczymy z obcych literatur za dużo, nie zawsze rzeczy najlepszych; tym gorzej więc, jeśli te nie-arcydziela przetłumaczmy nie najlepiej. W roku 1966 wydano u nas „Czerwony śnieg” Guentera Hofe, powieść bardzo głośną w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Nie piszę recenzji i nie jest ważne, że przemiany, zachodzące w psychice bohaterów tej powieści pod wpływem przegranych bitew na froncie wschodnim, a jeszcze bardziej pod wpływem osobistych porażek rodzinnych, wydają mi się nie dość przekonująco umotywowane i pozostające trochę w sferze deklaratywnej. Skoro uznano rzecz za godną spolszczenia, to proszę bardzo. Przed miesiącem wyszło nawet drugie wydanie i to w sporym nakładzie. Proszę bardzo. Ale tak:

Oryginał liczy pięćset sześćdziesiąt sześć stron. Polski przekład pięćset osiem, w tym samym formacie. Trochę to dziwi, gdy się zważy, że nasz język potrzebuje często całego zdania na określenie pojęcia, zawartego w jednym nie-

mieckim słowie. Więc może „Czerwony śnieg” to nie całkiem „Roter Schnee”, tylko jakaś jego skrócona mutacja? Jak to jest z przekładami powieści — można sobie z nimi poczynać jak z rekopisem debiutującego autora w ręku zadowolonej z siebie redaktorki wydawnictwa?

Przekładała tę książkę pani Emilia Bielicka. O żołnierzach frontowych pisze na stronie 65: „Ich zapotrzebowanie na środek przeciw wszom, na wodkę z kantyny czy lubieżna tęsknota za tęgą dziewczyną to po prostu kwestia innego opakowania”. Jest to zdanie pani Bielickiej, Guenter Hofe napisał — oczywiście gorzej: „To, co miota się pomiędzy proskiem na wszy a wodką z frontowej kantyny, pomiędzy grą w oczko a gżeniem się do furnej dziewczuchy — to właśnie żołnierstwo, tyle że w innym opakowaniu”.

Czytamy w polskiej wersji, że: „Rozstawione w dużych odstępach ogromne zasieki z drutu kolczastego zapowiadały niemieckie bazy wojskowe. Mieściły się one w przykrytych do toru kolejowego płaskich blokhauzach wyposażonych w szczeliny strzelnicze i oflankowanych przez hiszpańskich kawalerzystów”. Czytamy i nie możemy skapować, co to za hiszpańscy kawalerzyści oflankowali płaski blokhauz, przyklepiony do toru. Skąd tutaj Hiszpanie?

Prawda, jest w oryginalne słowo „spanische Reiter”. Ale to nie kawalerzyści, tylko po prostu „kozły hiszpańskie”, czyli skrzyżowane drewniane belki, omotane kolczastym drutem. Takimi kozłami zamyka się luki w umocnieniach, żeby je w razie czego usunąć i umożliwić wypad własnym oddziałom. Całe zdanie w surowym przekładzie z oryginału brzmiałoby chyba tak: „Rozsiane z rzadka rozległe zasieki z drutów kolczastych zapowiadały umocnione placówki armii niemieckiej. Obok budynków i torów kolejowych widywało się przyczepione płaskie bun-

kry ze strzelnicami, otoczone rzędami hiszpańskich kozłów”. Można oczywiście inaczej, można różnie, ale na pewno nie można o flankujących Hiszpanach, którzy znaleźli się tu jak Piłat w Credo.

Można opuścić całą stronę 140 i część strony 138 oryginału całą stroną 199 i wiele innych stron. Można nie przelożyć wcale obrazu zbombardowanego Hamburga, którego ulicami idzie bohater, tylko od razu rzucić go w ramiona zhańbionej żony. Można — dla zatarcia śladów skreśleń — dopisać nowe zdania, łączące jakoś poszatkowaną ciągłość narracji. Lepiej jednak nie pisać: „Używanie do tego celu wężących się policyjnych nie miało przecież najmniejszego sensu” — tam, gdzie autor napisał: „Całe to przewąchwianie terenu przez jednostki policyjne nie miało żadnego sensu”. Co to są „wężące się policyjne”? A już na pewno nie można powiedzieć: „Nawet najędźniejszy szeregowiec odczuwał chęć przeżycia jednego z decydujących momentów wojny”, bo ta nagła chęć w kontekście opisywanej właśnie w tym miejscu makabry frontowej jest zwykłym fałszem i Hofe tak nie napisał. Napisał natomiast (str. 318 oryginału): „Nawet najędźniejszy ciura odczuwał, że oto przeżywa jeden z decydujących momentów wojny”.

I tak całymi stronami, całe strony nie przystają do siebie, robią wrażenie niewykłóconego brulionu tłumaczenia, wymagającego dalszej obróbki. Był przecież czas na tę obróbkę pomiędzy pierwszym a drugim wydaniem. A może nie warto sobie zwracać głowy staranną uwagą dla dzieł, napisanych gdzieś daleko, poważaniem dla czytelnika i szacunkiem dla autorów, którzy nie będą się skarżyć?

ĆWIEK